

Wolność we mnie

Walczak Łukasz



Książkę tą dedykuję tym wszystkim, którzy poszukują, bądź dopiero będą poszukiwać
własnej drogi...

Tym, którzy w głębi serca, czują że droga, którą obecnie podążają, nie jest tak
naprawdę „ich” drogą...

Tym, którym brak odwagi, by sprawdzić co kryje się za czarnymi, zamkniętymi
drzwiami...

I wreszcie tym, którzy pewnego dnia niczym Kolumb, zdecydują się wyruszyć w
nieznane...

Podziękowania

Przede wszystkim chciałbym w tym miejscu podziękować moim rodzicom, bo to właśnie oni, mieli jak sądzę największy wkład w to, że dziś jestem tym kim jestem. Tak naprawdę to powinienem jednak powiedzieć „Dziękuję” wszystkiemu co mnie otacza. Wszystkim moim nauczycielom, których spotkałem podczas mojej wędrówki... Ich nauczycielom... Liściom spadającym z drzew, które przypominają mi o tym, że moje życie również przeminie... Chmurom przesuwanym się po niebie, dzięki którym pamiętam, iż czas ciągle płynie... Górą i ścianom udzielającym mi lekcji pokory... Wszystkim ludziom, których spotkałem na swojej drodze i którzy w mniejszym lub większym stopniu wpłynęli na to, kim dziś jestem... Tym, w których życiu odnajdywałem część siebie... Tym, którzy dawno już ten świat opuścili, niemniej echa ich historii, w taki czy inny sposób do mnie dotarły...

Hile Wędrowcze,

Skoro zdecydowałeś się na chwilę zatrzymać, aby wysłuchać mojej opowieści, chciałbym Cię ostrzec. Potraktuj wszystko co tu przeczytasz jako formę iluzji, jaką w rzeczywistości są słowa. Potraktuj mnie jak magika, który wyczarowuje królika z kapelusza. To co tu przeczytasz nie jest prawdą. Jest jedynie formą prawdy ubraną w słowa. Jest... królikiem. Ktoś inny wyczaruje gołębia, ale czy to tak naprawdę coś zmienia? Zmieni się jedynie forma, ale treść pozostanie ta sama. Pamiętaj również, iż jest to tylko forma, a one mają to do siebie, że choćby nie wiem, jak wspaniałe i ekscytujące się wydawały, prędzej czy później przemina. Z mojej strony to by było na tyle. Co z tym zrobisz? Zależy tylko i wyłącznie od Ciebie...

Wstęp (Prolog)

Gdzieś, kiedyś przeglądając artykuły zamieszczone na stronie internetowej poświęconej rozwojowi osobistemu, natrafiłem na pewną przypowieść. Opowiadała ona historię młodego mężczyzny, wędrującego po świecie w poszukiwaniu oświecenia. Pewnego dnia spotkał na swojej drodze starca, schodzącego z gór z ciężkim plecakiem na ramionach. Głęboko przekonany o tym, że ów starzec odnalazł to czego on sam ciągle poszukiwał, zapytał go czym jest oświecenie. Starzec nic nie odpowiedział, jedynie uśmiechnął się i zdjął z ramion plecak. Młodzieniec w zrozumieniu pokiwał głową, a po chwili zadał mu jeszcze jedno pytanie. A co jest po oświeceniu? Starzec ponownie uśmiechnął się, podniósł z ziemi plecak, założył na ramiona i ruszył dalej...

„Początek”

Od czego zacząć? Może powinienem rozpocząć od dnia narodzin? Tylko że jeśli wierzyć buddystom i koncepcji odradzania się w kolejnych wcieleniach, od których urodzin rozpocząć? A może od jakiegoś „przełomowego” wydarzenia w moim życiu? Gdyby jednak dłużej się nad tym zastanowić to okaże się, że owe „wydarzenie” było konsekwencją moich wcześniejszych działań, więc od którego zacząć? Zdecydowałem się zacząć od tego co uznałem za właściwe. Pamiętam jak jako jeszcze kilkuletni chłopczyk, byłem policjantem, archeologiem, szefem gangu, a kilka lat później już w myślach bohaterem ratującym ludzi uwieczonych w śmiertelnej pułapce, bogaczem podróżującym po świecie itp. Pamiętam po dziś dzień, zapach pomidorów dojrzewających pod folią, strzelanie z pistoletów na kapiszony, upadek na rowerze, który doprowadził do tego, że przez dłuższy czas nie byłem w stanie zginać nóg w kolanach, a z uwagi na to, że były to wakacje, męka była podwójna. Gdy już czubkiem głowy, nieco od ziemi odjechałem zaczęły się rozmyślenia, o tym co by było, gdyby...? Gdybym mieszkał gdzie indziej? Gdybym był synem innych ludzi? Czy byłbym wtedy tym kim jestem teraz? Itp. Szaleństwo, ale czy aby na pewno? Patrząc na to z perspektywy, dajmy na to dekady, dłużej bym się zastanowił, zanim wygłosiłbym taki osąd.

Z młodzieńczego okresu chciałbym jeszcze wspomnieć o dwóch wydarzeniach, które miały mi na długo zapaść w pamięć. Wydarzenia, których znaczenie jak mi się wydaje, dopiero teraz powoli odkrywam. Pierwsze związane jest z wizytą „nad Zalewem”, tj. kąpieliskiem w mojej rodzinnej miejscowości. Miałem bodajże 10, może 11 lat. Pewnego dnia wybrałem się z mamą na wspomniane kąpielisko, gdzie ochoczo spędzałem czas, „pływając” na obszarze wydzielonego brodzika, który w najgłębszym miejscu sięgał mi nieco powyżej pasa. No, ale jak to się czasem w życiu zdarza, naszła mnie ochota na to, by przekroczyć wyznaczoną granicę i rzucić się, dosłownie i w przenośni, na głęboką wodę. Wydostałem się poza brodzik i zacząłem płynąć w kierunku, znajdującego się na drugim brzegu mola. W pewnym momencie „złapał” mnie skurcz i miałem okazję spojrzenia, po pierwszy i bynajmniej nie ostatni, śmierci w oczy. Z całego zdarzenia najwyraźniej pamiętam tylko, że kilka razy udało mi się wypłynąć na powierzchnię i krzyknąć, coś w stylu:”Pomocy”, oraz to, że w pewnym momencie poczułem, jak ktoś łapie mnie za włosy i wyciąga spod powierzchni wody.

Innym, chociaż w swej istocie, bardzo podobnym wydarzeniem, było wyjście na mszę do kościoła. Droga z domu, w którym mieszkałem do kościoła prowadziła przez

najbardziej ruchliwą ulicę w mieście. Świadom, czy nie tego, że nadjeżdża samochód, nie zatrzymałem się przed przejściem dla pieszych i w pełni przekonany o swej nieśmiertelności, wszedłem na jezdnię. Na ułamek sekundy przed bezpośrednim kontaktem ze wspomnianym samochodem, poczułem szarpnięcie za koszulkę i nagle wbrew swojej woli znalazłem się na chodniku. Tym razem z ramion kostuchy, wyciągnęła mnie osoba, która jak sądzę w największym stopniu przyczyniła się do tego, że dziś mogę pisać te słowa, czyli moja mama.

Byłem wtedy jednak zbyt młody i zbyt arogancki, by dłużej zastanawiać się nad wspomnianymi wydarzeniami, w związku czym nie wyciągnąłem z tych lekcji żadnej nauki i potrzebowałem jeszcze wielu lat na to by zrozumieć, że śmierć może być surowym, aczkolwiek bardzo mądrym nauczycielem...

Wkrótce po opisanych wyżej wydarzeniach, rozpoczął się okres mojego „młodzieńczego buntu”. Z młodzieńczą fascynacją, zacząłem poznawać świat „metalowców”. W mojej garderobie przeważać zaczęły czarne ubrania, z głośników całymi godzinami płynęły ciężkie brzmienia, a ja powoli zaczynałem bawić się w dorosłego. Wieczorne wyjścia, wagary w szkole i powolne, acz konsekwentne opuszczanie się w nauce. Nie był to jeszcze okres, gdy do kreowanego przeze mnie wizerunku dorosłego dołączać zacząłem papierosy i piwo, ale wszystko było na jak najlepszej drodze ku temu. Zapewne większość ludzi, która również przechodziła przez ten etap swojego życia, jest w stanie wyobrazić sobie, relacje jakie panowały pomiędzy mną, a moimi rodzicami. Gdyby jednak kogoś ten wspaniały okres, jakimś cudem, ominął, napiszę tylko, że nie było różowo, a i otwierająca się przede mną przyszłość, nie zwiastowała by miało się to szybko zmienić.

Patrząc na tamten okres z perspektywy dziesięciu lat, doceniam, zresztą zapewne nie tylko ja, jego znaczenie w moim życiu. Po pierwszych latach spędzonych na ziemi, w trakcie których byłem wychowywany według pewnego wzorca, schematu mającego podłoże w kulturze i tradycji, w której przyszło mi żyć. Słuchając o tym co jest dobre, a co nie, co powinienem robić, czego powinienem, co wypada, co nie wypada, uważam okres młodzieńczego buntu za pierwszy krzyk prawdziwego „Ja”, które od czasu gdy byłem małym, niesfornym berbeciem, zostało zasypane górą osądów i przekonań. Po wielu latach, gdy wszelką mocą byłem trzymany, z dala od tego co moi rodzice uważali za złe, okres buntu, stał się tak na dobrą sprawę początkiem prawdziwej nauki. Czasem smakowania życia. Czasem popełniania błędów i wyciągania z nich wniosków. Okresem, który z jednej strony może się okazać początkiem końca wspomnianych osądów i przekonań, ustalonego porządku rzeczy. Z drugiej strony, może się jednak okazać, że będzie to początek końca głównego bohatera...

Pomimo tego, że tworzona przeze mnie wizja mojego własnego życia, oraz ta serwowana mi przez rodziców, krótko mówiąc, zaczęły się rozmijać, udało mi się dobrać do końca szkoły podstawowej i los chciał, że dalsze nauki miałem pobierać w Liceum Ogólnokształcącym. Wakacje, jak to wakacje upłynęły jak z bicza strzelił i rozpoczął się pierwszy rok mojej edukacji w szkole średniej. Chłopiec powoli stawał się mężczyzną, a co za tym idzie, należało w pewnym stopniu wykreować swój wizerunek mężczyzny. Stosunkowo szybko znalazłem w klasie kilka „bratnich dusz”, w towarzystwie których miałem spędzić kolejne cztery lata. Z uwagi na to, że sektor producentów tanich win, miał wiele do zaoferowania, ja już jako prawie mężczyzna,

postanowiłem wraz z grupką kompanów, ten fakt wykorzystać. Dodatkowo uznałem, że do wizerunku prawdziwego mężczyzny, idealnie pasuje papieros, w związku z czym, wkrótce zacząłem się regularnie inhalować, dymem z papierosów. I w takiej mniej więcej atmosferze, „dymu i siarki”, upływały kolejne lata mojego życia. Jak łatwo przypuszczać, okres ten w najmniejszym stopniu nie przyczynił się do poprawy relacji, panujących między mną, a moimi rodzicami.

Z drobnymi potknięciami, niemniej udawało mi się przedostawać z klasy do klasy. Aż wreszcie rozpoczął się trzeci, przedostatni rok mojej nauki w liceum. Czemu się tu zatrzymuję? W głównej mierze z racji tego, że to właśnie będąc w trzeciej klasie, miało mieć miejsce niezwykle istotne wydarzenie w moim życiu. Kończyłem bowiem 18 lat, a to oznaczało, ni mniej, ni więcej tylko „hulaj dusza”. Byłem dorosły i teraz mogłem robić to co chciałem. Byłem wolny... bynajmniej pozornie, niemniej w owym czasie niespecjalnie mnie interesowało zgłębianie tej „subtelnej” różnicy. Zamierzałem natomiast maksymalnie wykorzystać fakt, że posiadam plastikową kartę, na której widnieje napis „Dowód osobisty”, świadcząca o tym, że jestem już pełnoletni. Wiadomo jednak, osiemnaście lat do czegoś zobowiązuje. W związku z czym wraz z moją „wesolą kompanią” uznaliśmy, że nie wypada nam już pić tanich win, a trzeba zacząć kierować wzrok, ku wyższym półkom w sklepie. Co prawda, w przyszłości jeszcze wielokrotnie „wracałem do korzeni”, nie zmienia to jednak faktu, że w owym czasie coraz częściej raczyłem się dobrą, polską wódką.

W atmosferze „improwo – osiemnastkowej” wkroczyłem, w czwarty rok nauki w „ogólniaku”. A to wiązało się z pewnymi, mniej lub bardziej przyjemnymi konsekwencjami. Do tych „bardziej” przyjemnych mogę z pewnością zaliczyć „Studniówkę”, chociaż nie do końca, ponieważ w dniu studniówki dowiedziałem się, że zmarł mój dziadek, co w dużej mierze zaważyło, na nastroju w jakim się na nią udawałem. Los więc chciał, że w dwa dni po studniówce, brałem udział w pogrzebie, niemniej moje życie toczyło się dalej, a ja stałem przed wyborami, które miały zaważyć na moim przyszłym życiu. Przyszedł bowiem czas, gdy musiałem podjąć decyzję, dotyczącą tego na jakie studia mam się udać. Jaki kierunek da mi w przyszłości pewną pracę. Musiałem się wówczas zastanowić nad tym, po jakich studiach będę mógł zarabiać tyle, żeby w przyszłości kupić sobie mieszkanie, samochód, utrzymać rodzinę...?

Był to więc, teoretycznie, najważniejszy moment mojego życia. Okres od którego miała zależeć moja przyszłość... O ile jednak sprawy, o których wspomniałem faktycznie wydawały mi się wówczas istotne, o tyle do pójścia na studia dużo mocniej zachęcała mnie perspektywa opuszczenia rodzinnego gniazda. Wkrótce nadszedł Maj, a co za tym idzie Matura, a po niej, bynajmniej teoretycznie, wakacje z przerwą na złożenie papierów na studia. Po niedługim czasie, dowiedziałem się, że zostałem przyjęty na Łódzką Politechnikę. Co prawda, nie na mój „wymarzony” kierunek, ale w tamtym momencie nie miało to większego znaczenia.

I w ten oto sposób nadszedł okres, gdy nieopierzony, a jedynie przystrojony w sztuczne piórka orlik, miał wreszcie opuścić rodzinne gniazdo. W bólach, ale ostatecznie udało mi się dotrzeć do etapu, na którym podobnie jak moi rówieśnicy, zarówno ówcześni jak i przeszli oraz Ci, którzy dopiero będą tą drogą podążać, miałem zasmakować „prawdziwej” wolności. Przede mną rozpościerała się wizja studiów i przyznam szczerze, pobudzała ona moją wyobraźnię.

Zanim jednak wędrowcze, przeniosę Cię do Łodzi, widzianej moimi oczami, zatrzymam się jeszcze na chwilę nad dwoma wydarzeniami, które miały miejsce, gdy spędzałem ostatnie lata w rodzinnym mieście. Chociaż w owym czasie nie wydały mi się na tyle interesujące, by się nad nimi zagłębiać, w przyszłości miały się okazać dla mnie nad wyraz istotne i dać mi wiele do myślenia.

Pierwszym z nich było przedstawienie, na które wyjazd zorganizowała nasza wychowawczyni. Jego tytuł „Biblia, w skróconej wersji”, okazał się w gruncie rzeczy parodią Biblii, która do tego stopnia oburzyła moją wychowawczynię, że ta zdecydowała się napisać do dyrekcji teatru, pismo wyrażające jej oburzenie i zgorszenie tym co zobaczyła i usłyszała. Oczywiście my, jako klasa, która również „musiała” to oglądać zostaliśmy o tym poinformowani, przez naszą wychowawczynię, po czym mieliśmy się podpisać pod wspomnianym listem. Okazało się, że na 32 osoby w klasie, podpis złożyło 30, a dwiema czarnymi owcami, okazaliśmy się ja i mój kolega z ławki. O ile w motywy mojego kolegi nie będę się zagłębiał, o tyle ze swojej strony napiszę, że wspomniany spektakl niespecjalnie uraził moje uczucia religijne, a podpisywać się tylko dlatego, że tak wypada, ewentualnie z uwagi na to, że inni też się podpisali, nie zamierzałem. Co jednak jak się później dowiedziałem, kierowało kilkoma osobami.

Tak jak już wspomniałem, w tamtym momencie cała ta sytuacja, nie wydała mi się na tyle istotna, by się nad nią dłużej zatrzymywać. Wspomnę, więc jeszcze krótko o drugim wydarzeniu z tamtego okresu i już za chwilę udajemy się od miasta, które na przestrzeni kilku kolejnych lat z miejsca będącego symbolem „wolności”, przerodziło się w moje więzienie... W tamtym okresie miało miejsce, nazwijmy to „spotkanie” między mną, a Stephenem Kingiem. „Spotkanie”, do którego wówczas jeszcze nie dorosłem, a którego sens i znaczenie miałem odkryć wiele lat później.

„Z dala od domu, czyli jak cudownie być wolnym”

Gdy nadszedł wreszcie, z dawna wyczekiwany październik, dość ochoczo spakowałem torbę podróżną i na kilka dni przed rozpoczęciem roku, przekroczyłem po raz pierwszy mury akademika. Moje wyobrażenia o życiu w akademiku, stosunkowo szybko zostały skonfrontowane z rzeczywistością i muszę stwierdzić, że obrazy w mojej głowie, przedstawiały się o wiele bardziej interesująco. Niemniej postanowiłem się nie zrażać i podjąłem na własną rękę próby „ożywienia” tej części pietra, w której mieszkałem. Próby te ostatecznie spełzły na niczym, a ja po miesiącu przeniosłem się do innego akademika. Przy czym przenosiny te nie miały bynajmniej charakteru „karnego”, a były podyktowane tym, że miałem bliżej na uczelnię. Dodatkowo, jak niedaleka przyszłość pokazała, znalazłem tam kilka „bratnich dusz”, które podobnie jak ja miały wielką ochotę urzeczywistnić przywiezione ze sobą wyobrażenia o życiu studenckim.

Stosunkowo szybko zdecydowaliśmy się wprowadzić w życie nasze zamiary. Chciałem w tym miejscu napisać, że opisywanie tego co się wówczas działo w moim życiu, mija się z celem tej książki, po chwili namysłu zdecydowałem się jednak zmienić zdanie. Etap, który wówczas się rozpoczął, mógłbym nazwać „okresem burzy i naporu”. Od poniedziałku do czwartku wędrując przez „labirynt” szarych, uczelnianych korytarzy, w czwartkowy wieczór wkraczałem w odmienny stan świadomości, który bardzo często trwał, aż do niedzielnego poranka. Fakt, że wówczas nie zakrztusiłem

się ową „wolnością”, po dziś dzień pozostaje dla mnie zagadką, podobnie zresztą jak przebieg wielu ówczesnych wieczorów. Sądzę jednak, że czasem trzeba po prostu sięgnąć dna, żeby się zorientować, że się spadało. No cóż, nawet jeśli, tak faktycznie jest moja droga na dno, tak na dobrą sprawę dopiero się zaczynała, a meta jak się okazało wcale nie była blisko.

Moment otrzeźwienia, dosłownie i w przenośni, przyszedł pod koniec listopada. Chcąc pozostać wiernym piątkowym tradycjom, lekko podchmielony udałem się do klubu. Z racji tego, że DJ grał przyjemną dla ucha nutę, dość szybko znalazłem się na środku parkietu, a po chwili obok mnie znalazła się pewna dziewczyna. Upłynęło kilka kolejnych chwil i już razem tańczyliśmy i stan ten miał trwać, aż do momentu, w którym oznajmiła mi, że musi wracać do domu. Pożegnaliśmy się i nic nie wskazywało na to byśmy się mieli powtórnie spotkać. Okazało się jednak, że ktoś, lub coś, a może ani jedno, ani drugie, ma wobec nas inne plany. Z racji tego, że skończyły mi się papierosy, postanowiłem wyjść się przewietrzyć i przy okazji odwiedzić, znajdujący się po drugiej stronie ulicy sklep. Przypadek, przeznaczenie sprawiły, że pod klubem spotkałem ową dziewczynę, a ona nie wiedząc czemu dała mi swój numer telefonu.

W przyszłości miałem przez długi czas rozmyślać nad tym wydarzeniem. Czy było to przeznaczenie, czy po prostu ciąg intuicyjnie podejmowanych decyzji, które doprowadziły do tego, że się wtedy spotkaliśmy. Gdy patrzę na to teraz, z perspektywy kilku lat, sądzę że i jedno, i drugie jest zarówno prawdą, jak i kłamstwem. A co najciekawsze, wbrew pozorom, zdaje się w tym tkwić głębszy sens...

Ale to dopiero przede mną. Póki co jest piątkowy, listopadowy wieczór, a ja stoję przed klubem, wówczas jeszcze nie świadom tego, że właśnie otwieram nowy rozdział mojego życia. Jeszcze raz się pożegnaliśmy, po czym z uwagi na to, że następnego dnia miałem jechać do domu, wróciłem do akademika. Korzystając z chwili, pobytu w rodzinnych stronach, miałem czas na przemyślenie tego, co dalej robić i podjęcie pewnych decyzji, które ostatecznie sprowadziły się do tego, że zdecydowałem się zadzwonić i umówić na randkę. I w taki oto sposób w Andrzejkowy wieczór znów się spotkaliśmy. Tym razem w nieco bardziej kameralnym otoczeniu, chociaż ciężko tu mówić o kolacji przy świecach, dysponując studenckim budżetem, w dodatku mocno nadwyrężonym przez nocne eskapady. Niemniej pierwsze spotkanie doprowadziło do drugiego, drugie do trzeciego, trzecie itd. Z czasem doszło do tego, że zaczęliśmy się regularnie spotykać. A swój czas musiałem rozdysponować pomiędzy szeroko rozumiane życie studenckie, dziewczynę i coraz częstsze, z uwagi na zbliżającą się powoli, acz nie ubłagane sesje, wizyty na uczelni.

Nadeszły święta, sylwester, po nich sesja, którą z lekkim potknięciem, ale przebrnąłem i w dalszym ciągu mogłem brać udział w tworzeniu historii, które w przyszłości miały krążyć, a może i do tej pory krąży, po akademickich korytarzach. Nowy semestr oprócz nowych perspektyw, przyniósł jednak jeszcze jedną niespodziankę. Dowiedziałem się, że osoba, która do tej pory zdążyła stać się częścią mojego życia zdecydowała się na pół roku wyjechać z kraju. Byłem nawet gotów rzucić studia i pojechać razem z nią, ale niestety, a może „stety” dałem się odwieść od tego pomysłu. Tak oto, po kilku miesiącach życia w związku, miałem znów smakować niczym nieskrępowanej „wolności”. Co prawda, owa nieskrępowana „wolność” miała mi się wkrótce odbić czkawką, ale póki co czułem się powiedzmy „przytłoczony” otrzymaną wiadomością. Ale od czego są koledzy, z doskonałymi pomysłami na

ściągnięcie owego ciężaru z moich barków. Imprezy, wyjścia do klubów miały zająć miejsce powstałej pustki. Z czasem doszły do tego gry RPG, które stopniowo zaczęły wypierać nocne włóczęgi.

W ten sposób mijały dni, tygodnie... W chwilach refleksji, które w tamtym okresie zdarzały mi się nad wyraz rzadko, myślałem o kobiecie, która jest gdzieś tam. Z czasem zacząłem czuć, a może dopiero dostrzegłem, coś co wówczas nazwałem miłością. Czy faktycznie była to miłość? Sądzę, że tak. Sądzę, że była to miłość jaką może się kochać dwoje młodych ludzi. Miłość, która z czasem może stać się Twoim narkotykiem, jeśli sobie w porę tego nie uświadomisz. Miłość mogąca stać się drzwiami do Prawdziwej Miłości, wynikającej z całkowitej akceptacji drugiej osoby, wyrażającej się we wspólnym siedzeniu, wspólnym spędzaniu czasu, wspólnym jedzeniu, spaniu, wędrowaniu. Bez konieczności używania jakichkolwiek słów... Czym stała się dla mnie? Sądzę, że po trosze jednym i drugim.

W międzyczasie nadeszły pierwsze, niemniej nieostatnie Juwenalia, których miałem być uczestnikiem. „Wiwa, wiwa, juwenalia, kto nie pije, ten kalia” słowa przyspiewki, która jeszcze do dziś rozbrzmiewa mi w głowie, na wspomnienie tamtych chwil. Oficjalnie święto studentów, nieoficjalnie, jedna wielka impreza, której ogrom można poznać jedynie w niej uczestnicząc. Impreza do której tworzenia i ja się przyczyniłem... Chociaż, jak się nad tym chwilę zastanowić, to sądzę, że przyczyniałem się raczej do utwierdzania ludzi w przekonaniu, iż określenie „student”, to po prostu synonim dla słowa „balangowicz”. Juwenaliowy weekend minął jednak, jak oka mgnienie, a wkrótce po nim nadeszła, wywołująca nie mniejsze poruszenie, sesja. O ile jednak Juwenalia, pomimo tego, że swym ogromem nieco mnie przytłoczyły, przetrwałem, o tyle podczas sesji poległem, w związku z czym po wakacjach miałem rozpocząć rok akademicki, po raz kolejny jako student pierwszego roku.

Korzystając z tego, że w trakcie pierwszego semestru miałem uczęszczać tylko na jeden przedmiot, postanowiłem część czasu przeznaczyć, na zdobywanie środków do życia. I tak doszło do tego, że wkrótce rozpoczął się krótki, co prawda, ale zawsze, epizod zatytułowany „McDonald’s”. Serwowałem kanapki, w nocy sprzątałem... Krótko mówiąc, poznawałem uroki pracy zarobkowej. Mniej więcej w tym samym czasie, do Polski wróciła moja dziewczyna, moje życie zaczęło więc w pewien sposób wracać do „normalności”. Bez wdawania się w szczegóły, napiszę tylko, iż czas którym dysponowałem, wypełniały szkoła, praca, dziewczyna... i coraz bardziej mnie wciągające RPG-i. Co miało taki plus, że moje nocne życie towarzyskie, zostało na pewien czas przesunięte na boczny tor.

Z przerwą na kolejne Juwenalia, dotarłem do kolejnych wakacji, po których progi Politechniki miałem wreszcie przekroczyć, jako student drugiego roku. Sukces ten, pół roku później wyszedł mi jednak bokiem i nadeszła pora, by ostatecznie pożegnać się z murami Łódzkiej Politechniki... i na kolejne pół roku z samą Łodzią. Kolejne kilka miesięcy zdecydowałem się spędzić w domu, po to, aby bliżej lata podjąć decyzję o rozpoczęciu studiów na Łódzkim Uniwersytecie. Czym była ta decyzja uwarunkowana? W głównej mierze wiszącą nade mną perspektywą, zostania wcielonym do wojska, a tego wszelką miarą chciałem uniknąć. Co do wyboru kierunku, był on w dużej mierze podyktowany, zasłyszana gdzieś, kiedyś na jednym z akademickich korytarzy anegdota, jakoby kierunek, który wkrótce miałem rozpocząć, „był łatwy”. Póki co, okazało się, że łatwo się dostać, w związku z czym wraz z

początkiem października, rozpocząłem zapisywanie kolejnej karty w „księdze życia”, po raz kolejny jako student pierwszego roku, tym razem jednak na Uniwersytecie Łódzkim.

Powoli, chociaż wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy, zbliżałem się do miejsca, które miało okazać się punktem zwrotnym w moim życiu. Zanim to jednak nastąpiło, w dniu rozpoczęcia przeze mnie studiów, miało miejsce ciekawe wydarzenie... Po wejściu do tramwaju, dostrzegłem znajomego, który w przeszłości miał ze mną mieszkać jako współlokator. Jednak, z racji tego, że ostatecznie zdecydował się na inny pokój, nasze drogi przecinały się jedynie, od czasu do czasu, na korytarzu. Od słowa do słowa, doszliśmy do pytania, gdzie każdy z nas się udaje? Okazało się, że obaj jedziemy na Uniwersytet? Po co? Na rozpoczęcie. A na jakim kierunku? Czy będzie dla Ciebie zaskoczeniem, jeśli napiszę, że na tym samym? I w takich mniej więcej okolicznościach, doszło do tego, że we dwóch, mieliśmy pełnić rolę, „studentów z doświadczeniem”, chociaż okazało się, że jemu zabawa w studenta, spodobała się jeszcze bardziej, niż mi... No cóż, z racji tego, że okres gruntownych zmian był jeszcze przede mną, stosunkowo szybko, najlepiej znanymi sobie sposobami, zaczęliśmy we dwójkę integrować się z resztą roku. Chociaż może właściwiej byłoby powiedzieć: „Z tą częścią, która miała chęć się integrować”.

Wziąwszy pod uwagę mój ówczesny tryb życia, można by dojść do wniosku, że ostatnie trzy lata nic mnie nie nauczyły. Od poniedziałku do piątku praca, przeplatana różnymi zajęciami, wśród których najczęściej znajdowały się różnej maści gry RPG, mającymi na celu „zabicie nudy”. W weekend z kolei smakowałem, dosłownie i w przenośni, szeroko rozumianej wolności. W tej mojej „zabawie w studenta” trochę przeszkadzały mi... studia, ale jakoś udawało mi się to ze sobą godzić. Minał październik, listopad, grudzień, a ja z uporem maniaka oddawałem się swoim weekendowym rytuałom. Co prawda na początku akapitu napisałem, że wcześniejsze trzy lata nic mnie nie nauczyły. Sądzę, że jednak, iż nie jest to do końca prawdą. Wydaje mi się, że wówczas już podświadomie czułem, że droga którą zmierzam może mnie doprowadzić na skraj przepaści. Potrzebowałem jednak jeszcze trochę czasu, by to sobie uświadomić...

„Początek”

Wkrótce po Nowym Roku zdecydowałem się zakończyć trwający trzy lata związek. Czym była ta decyzja podyktowana? W tym momencie to już tak naprawdę bez znaczenia, bo cokolwiek bym nie napisał i tak będzie to kłamstwem. Spośród całego szeregu motywów podjęcia takiej, a nie innej decyzji, wymienię jeden, który dziś wydaje mi się być najbliższy prawdzie. Czułem, że powinienem tak zrobić. Podczas jednej z wizyt u mojej, wówczas „jeszcze” dziewczyny, przeprowadziłem z nią krótką rozmowę, po czym wstałem i wyszedłem, zostawiając ją ze łzami w oczach. Przyszłość pokazała, że nie był to jeden, jedyny raz, gdy ktoś „przeze mnie” płakał.

W owym czasie niespecjalnie się tym przejmowałem, zwłaszcza że szybko wpakowałem się w kolejny, nazwijmy to „przelotny związek”. Związek, który pomimo tego, że nie przetrwał zbyt długo, miał się dla mnie stać punktem zwrotnym na mojej życiowej drodze. Jak do tego doszło? Korzystając z uroków „wolności” i zjazdu na uczelni, wybrałem się po niedzielnych zajęciach z grupką znajomych na piwo. W którymś momencie dołączyła do nas znajoma kolegi, z którą dość szybko „złapałem

wspólny język. Doprowadziło to do tego, że na zakończenie wieczoru wzięłem od niej numer telefonu, czego konsekwencją było to, że kilka dni później znów się spotkaliśmy. Spędziliśmy miło dzień, potem jeszcze kilka kolejnych, ale jak już wspomniałem „związek” ten szybko się zaczął i równie nagle skończył. Lecz w tym przypadku decyzja o jego zakończeniu, bynajmniej nie należała do mnie. Pewnego dnia, gdy próbowałem się z nią skontaktować, odpowiedziała mi głucha cisza. Po kolejnej próbie sytuacja się powtórzyła, ale to jeszcze nie był powód do rozmyślań. Takim powodem stało się kilka kolejnych nieodebranych telefonów i brak odpowiedzi na sms-a. Zdawałem sobie wówczas sprawę, że to koniec, chciałem jednak dowiedzieć się co było tego przyczyną. Nie miałem się dowiedzieć i w tym momencie jest to bez znaczenia, chociaż wtedy wywołało to u mnie coś co nazwałbym „przebłyskiem świadomości”. W mojej głowie pojawiły się dwa głosy. Jeden sugerujący, że „wszystkie dziewczyny to ...” i drugi, który zmuszał mnie do zastanowienia się nad tym „Co takiego jest we mnie, że ona zdecydowała się to zakończyć?”. O ile ten pierwszy głos był mi dobrze znany, o tyle ten drugi okazał się na tyle intrygujący, że postanowiłem pójść jego śladem. Dokąd? W nieznane...

No tak, tylko od czego rozpocząć podróż w nieznane, gdy nie znasz celu, kierunku... Korzystając z tego, że przyszło mi żyć w XXI w. i mając dostęp do wynalazku jakim jest internet, właśnie od tego zdecydowałem się zacząć. Tylko czego tam szukać? Tak naprawdę, to nie miałem zielonego pojęcia. Po prostu, każdego dnia spędzałem sporo czasu, odwiedzając najróżniejsze strony, czytając artykuły, które wydawały mi się ciekawe, próbując znaleźć pewien punkt zaczepienia. I tak wędrując od strony do strony, od artykułu do artykułu, udało mi się wreszcie przybić do brzegu, a portem, który miałem zwiedzić było „PUA”, czyli Pick up artists.

Któregoś dnia natrafiłem w internecie na stronę poświęconą tematyce uwodzenia kobiet. Temat na tyle mnie zainteresował, że zdecydowałem się na nim dłużej zatrzymać i nieco go po drażyć. Z czasem udało mi się dotrzeć do kilku kolejnych stron, trafiłem na kilka for internetowych, zacząłem więc zgłębiać sekrety, nazwijmy to „relacji damsko-męskich”. Po ponad trzech latach bycia w związku i przelotnym romansie, który zresztą stosunkowo szybko udało mi się uznać za zamknięty rozdział, a do którego w niedalekiej przyszłości miałem jeszcze na moment powrócić, pozwoliło mi to spojrzeć na moje relacje z dziewczynami w zupełnie innym świetle. A także, co okazało się nader istotne, było to swego rodzaju „lustro”, w którym mogłem się sobie przyjrzeć i przyznam szczerze, widok, który tam ujrzałem zmusił mnie do kolejnych refleksji nad swoim życiem. Dwudziestotrzyletni facet spędzający czas od poniedziałku do poniedziałku w pracy, resztę dnia przeznaczając na RPG-i. W weekendy włóczący się po klubach, ocierając się o alkoholizm, z nieodłącznym papierosem w zębach. Zacząłem się nawet zastanawiać, jak to się stało, że dziewczyna z którą miesiąc wcześniej zerwałem, wytrzymała ze mną ponad trzy lata? Co prawda odpowiedzi na to pytanie nie poznałem i już zapewne nie będę miał okazji, niemniej samemu ze sobą było mi coraz trudniej wytrzymać, w związku z czym postanowiłem wprowadzić w swoim życiu pewne zmiany.

Zdecydowałem się nieco poszerzyć swoje horyzonty. W dalszym ciągu poświęcałem sporo czasu na przeglądanie różnych stron i stopniowo pojawiały się tematy przy, których się na dłużej zatrzymywałem, jak choćby psychologia, która zaciekała mnie do tego stopnia, że zdecydowałem się odwiedzić bibliotekę, w celu

wypożyczenia jakichś interesujących książek. Postanowiłem również wprowadzić do swojego życia nieco aktywności fizycznej, chociaż fakt, że od kilku lat paliłem papierosy, stanowił pewne ograniczenie. Niemniej udało mi się znaleźć coś, w czym kiepska kondycja specjalnie nie przeszkadzała, a dodatkowo pasowało do powstającej od pewnego czasu w mojej głowie wizji, według której, w niedalekiej przyszłości, miałem zostać „łamaczem niewieścich serc”. Zapisalem się na kurs tańca, a konkretnie salsy. Z racji tego, że do tej w mojej diecie dominowały głównie fast foody i kuchnia „smażona”, w tej kwestii również poczynilem pewne zmiany.

I tak, w ten oto sposób zacząłem wprowadzać moje życie na nowe tory. Tym co w przyszłości miało okazać się niezwykle istotne i co jak sądzę, w ogóle umożliwiło mi wprowadzanie jakichkolwiek zmian, było wewnętrzne postanowienie o wzięciu odpowiedzialności za własne życie i podejmowane decyzje. Postanowienie, które w dużej mierze pozwoliło mi spojrzeć na sytuację, w której się aktualnie znajdowałem, z zupełnie innej perspektywy. Które co często mnie zastanawiało, w chwilach złości czy zwątpienia wracało do mnie i przypominało o sobie. Z czasem zacząłem dostrzegać, że chociaż pozornie mogę zrzucać winę za to co mnie spotyka na innych, tak naprawdę, to gdzie obecnie jestem jest konsekwencją moich i tylko i wyłącznie moich decyzji.

W niedługim czasie zauważalne stały się efekty wprowadzonych zmian. Przyszła również pora na to, żeby wprowadzać w życie powstałą w mojej głowie wizję. Z uwagi na to, że w klubach czułem się jak ryba w wodzie, to właśnie tam zdecydowałem się rozpocząć karierę uwodziciela. Szybko jednak okazało się, że jeśli marzy mi się zostanie drugim Casanovą, to przede mną długa i prawdopodobnie wyboista droga. Wiązało się to z pewnym, niezmiernie istotnym czynnikiem. Mianowicie, do tej pory, przeważnie w klubie łądowałem, będąc w „odmiennym stanie świadomości”, w związku z czym podejście i zagadnięcie dziewczyny nie stanowiło większego problemu, a nawet jeśli przedstawicielka płci przeciwnej zdecydowała się mnie zignorować, nie robiło to na mnie większego wrażenia.

Zgoła odmiennie sprawa zaczęła się przedstawiać, gdy przyszło mi to robić będąc trzeźwym. Nagle bowiem okazało się, że mam pewnego „przyjaciela”, który również posiada pewną wizję mojego życia, chociaż „nieznacznie” odbiegającą od moich własnych wyobrażeń. Tym „przyjacielem” okazał się mój umysł, który przez ostatnie lata siedział cicho, ale nagle spostrzegł, że dzieje się coś co do tej pory nie miało miejsca, w związku z czym postanowił interweniować. I podczas gdy ja stopniowo próbowałem się wychylić, poza stworzoną przez ostatnie lata „strefę komfortu”, mój umysł usilnie starał mi się wmówić, że przecież tak było dobrze. W czasie, gdy ja będąc w klubie starałem się ułożyć w głowie pewien, nazwijmy to scenariusz rozmowy z dziewczyną, która akurat wpadła mi w oko, mój umysł krzyczał, że „...to przecież śmieszne. Laska cię oleje i taki będzie tego finał”. Gdy chciałem podejść i zatańczyć z dziewczyną, w głowie zapalała się czerwona lampka i odzywał wszędobylski głos „... zobaczysz, ona cię wyśmiej, a każdy będzie na to patrzył...” itd. Zdałem sobie wówczas sprawę z tego, że realizacja moich marzeń, będzie wymagać ode mnie dużo więcej pracy, niż z początku zakładałem.

Na szczęście z pomocą przyszła mi psychologia. Po lekturze kilku pozycji, miałem pewne, mgliste pojęcie o tym w jaki sposób funkcjonuje ludzki umysł. Niezmiernie ciekawym wydało mi się to w jaki sposób umysł buduje wspomnianą „strefę komfortu” i pilnuje, żeby przypadkiem jej nie przekraczać, ponieważ może się to

dla mnie tragicznie skończyć. Okazało się, że jest to swego rodzaju „system obronny”, chroniący przed tym co nieznane. Mający korzenie u ludzi pierwotnych i w przypadku, których miał on faktycznie rację bytu, wzięwszy pod uwagę, że w ciemnych zaroślach mógł się kryć tygrys szablo zębny, czyhający na to by pożreć nieostrożnego jaskiniowca. Na szczęście, okazało się, że istnieje wyjście z tej sytuacji, a mianowicie świadome wychodzenie poza strefę, w której umysł siedzi cicho. I tak oto, od poniedziałku do piątku czas spędzałem, na poznawaniu tajników funkcjonowania ludzkiego umysłu, przeplatanych lekcjami salsy. Z kolei w weekendy czyniłem nieśmiałe próby, wkraczania w obszary nieznane mojemu umysłowi. Co najciekawsze, ten sam umysł, który na początku rozmowy z dziewczyną, na najróżniejsze sposoby, próbował mi wytłumaczyć co może pójść nie tak, gdy już faktycznie coś poszło nie tak, robił mi z tego powodu wyrzuty. Niezwykle pomocne w przełamywaniu nieśmiałości okazywały się również lekcje salsy. Z racji tego, że w przeważającej większości uczestniczkami wspomnianego kursu, były przedstawicielki płci pięknej, czy to się mojemu umysłowi podobało czy nie, coraz więcej czasu spędzałem w towarzystwie kobiet i coraz swobodniej się w tym towarzystwie czułem. Niemniej ciągle były obszary, które wymagały sporo pracy.

Mimo tego, iż ze swojej strony usilnie starałem się zerwać z dotychczasowym trybem życia, demony przeszłości co i rusz, dawały o sobie znać. Chociaż szedłem na imprezę z mocnym postanowieniem, kontrolowania ilości wypitego alkoholu, to życie stosunkowo szybko weryfikowało siłę mojego postanowienia i to z reguły na moją niekorzyść. Co prawda, sytuacje gdy całkowicie traciłem kontrolę nad swoim zachowaniem zdarzały się coraz rzadziej, ale zdarzały się i przestało to być dla mnie powodem do dumy. Mógłbym się wtedy co prawda całkowicie odciąć od towarzystwa, w którym się obracałem, ale jak sądzę, gdzieś głęboko, na podświadomym poziomie czułem, że w gruncie rzeczy byłaby to ucieczka. Może po prostu potrzebowałem jeszcze trochę czasu?

W owym czasie moje zainteresowania psychologią poszerzać się zaczęły o zagadnienia związane z Neurolingwistycznym Programowaniem, czyli NLP. Tym co w dużej mierze skłoniło mnie do tego, żeby się tym zainteresować była coraz żywsza chęć zgłębiania mechanizmów działania ludzkiego umysłu. Ponieważ od dłuższego czasu, mój umysł coraz częściej zbierał głos w najmniej spodziewanych sytuacjach, postanowiłem znaleźć sposób na kontrolowanie go, jak również zrozumienie przyczyn takiego, a nie innego zachowania mojego umysłu, który bądź co bądź powinien być moim najlepszym przyjacielem.

Stopniowo poznawałem świat modelowania, sposobów tworzenia przekonań. Czytałem o tym w jaki sposób tworzy się własną rzeczywistość. Ale żeby na czytaniu nie skończyć, stałem się „królikiem doświadczalnym” i naukowcem w jednej osobie. Na swój sposób zacząłem się tym „bawić”, przy czym zabawką stał się umysł, a wszystko to, o czym czytałem stanowiło swego rodzaju instrukcję obsługi do niego. W relacjach z ludźmi udało mi się zaobserwować zmianę o tyle, że w momencie, gdy ktoś krytykował mnie, czy moje zachowanie, coraz częściej udawało mi się zachować spokój. Sytuacje, które w przeszłości wywoływałyby u mnie irytację czy zdenerwowanie, coraz częściej zacząłem postrzegać jako zależne od siebie. Podczas gdy w przeszłości często twierdziłem, że ktoś mnie denerwuje, przy czym z reguły używałem mocniejszych słów, coraz częściej zacząłem sobie zdawać sprawę, że tak naprawdę, to tkwiąca w mojej

głowie reakcja na dane zachowanie, sprawia, że jestem zdenerwowany... Zaczęłam zmieniać przekonania tkwiące od wielu lat w mojej głowie. W miejsce „Nie dam rady czegoś zrobić”, pojawiło się „Jeśli ktoś jest w stanie to zrobić, to ja również. Gdy chciałem coś zrobić, a umysł podpowiadał mi, że to się nie uda, zadawałem sobie pytanie:”A co mi stoi na przeszkodzie?” i bardzo często okazywało się, że to właśnie umysł stał mi na drodze...

Jak to się jednak często zdarza, drzwi prowadzą do kolejnych drzwi, w związku z czym poza samymi zagadnieniami związanymi działaniem umysłu, docierałem do książek, filmów, które pozwalały mi spojrzeć na życie z innej perspektywy. Z czego zresztą korzystałem. Obserwowałem ludzi, ich zachowania, własne życie i myślałem, może nawet za dużo... Przekonania, w które przez wiele lat „wierzyłem”, osądy o życiu, które od dłuższego czasu tkwiły w mojej głowie, nagle przestawały mieć rację bytu. Ale chcąc wznieść nowy budynek na zabudowanej już działce, wpierw to co już tam stoi, musi zostać usunięte. Zaczął się więc proces powolnego rozpadu. Proces, który przez pewien czas budził moje przerażenie. Mój umysł krzyczał: „Co Ty wyprawiasz?”, „Wyjdiesz na idiotę myśląc w ten sposób”, a ja nie wiedziałem co o tym wszystkim sądzić. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałem, że tak naprawdę jest to, był i będzie krzyk małego dziecka, które boi się tego co jest za zamkniętymi drzwiami szafy, a jedyne co tak naprawdę wystarczy wówczas zrobić, to przytulić dziecko, otworzyć drzwi do szafy i pokazać, że jest ona pusta.

W międzyczasie moja aktywność fizyczna rozszerzona została o pływanie, które oprócz tego, że pozwoliło mi spalić zapasy nagromadzone przez ostatnie lata wokół brzucha, odegrało zaskakująco ważną rolę w kolejnej, podjętej przeze mnie próbie rzucenia palenia. Przez wiele lat próbowałem odstawić papierosy, wszystkie próby podejmowałem jednak z przekonaniem, że będzie to trudne. I co wówczas już mnie nie dziwiło, takie się okazywało. W moje ręce trafiła książka Allena Carra zatytułowana „Łatwy sposób na rzucenie palenia”, która całkowicie odmieniała mój sposób patrzenia na kwestię rozstania się z wieloletnim towarzyszem, „wspierającym” mnie w najróżniejszych sytuacjach. Wreszcie nadszedł dzień, gdy po raz kolejny podjąłem próbę zakończenia „związku”, dla którego nie widziałem już przyszłości. Przestałem palić i czułem się z tym wspaniale. Z każdym kolejnym dniem można by rzec, że coraz wyraźniej dostrzegałem słabnącą chęć zapalenia. Zamiast, tak jak to w przeszłości robiłem, szukać powodów, dla których warto by sięgnąć po papierosa, coraz częściej odnajdywałem sytuacje, które utwierdzały mnie w tym, że podjąłem właściwą decyzję. Po trzech – czterech tygodniach, podczas pływania zauważyłem, że poziom, który miesiąc wcześniej był odległy niczym księżyc, nagle znalazł się w zasięgu moich możliwości. Miałem „namacalny” efekt odstawienia papierosów. I to właśnie stało się w niedalekiej przyszłości stało się motorem, dla konsekwentnego trwania w swoim postanowieniu. Gdy nachodziła mnie ochota na to by zapalić, myślałem sobie, że zapalę jednego, drugiego, trzeciego... , za miesiąc znów będę śmierdział, pocił się wchodząc na schody, w trakcie pływania robił przerwę co dwie długości itp.

„Góry”

I tak powoli nadszedł okres wakacji. Z racji braku jakichkolwiek planów, postanowiłem pojechać gdzieś, gdzie nie miałem jeszcze okazji być. Wybór padł na Zakopane. Kiedy, więc nadeszła pora wyjazdu, z ogromną torbą na ramieniu udałem

się do „zimowej stolicy Polski”. Po dotarciu na miejsce, zakwaterowałem się i jeszcze tego samego dnia postawiłem sobie za cel zdobycie Giewontu. W związku z tym, po opuszczeniu mojego „przejściowego domu”, skierowałem się w stronę wejścia do Tatrzańskiego Parku Narodowego od strony Doliny Strążysk i po niedługim czasie zostawiłem za sobą, bez większego żalu, całą cywilizację.

Nie będę się tu zagłębiał w zdawanie szczegółowej relacji, bo nie to jest celem. Ograniczę się tylko do tego, że z uwagi na pogarszającą się pogodę zdecydowałem się zawrócić z przełęczy, nazywanej Siodłem. Moje rozdmuchane ego, nie było co prawda z tego faktu zadowolone, ale stwierdziłem, że jakoś to przeboleje. Wróciłem do swojego pokoju i zacząłem snuć plany na kolejne dni. Reszta pobytu w Zakopanem upłynęła mi na mniej, lub bardziej „efektywnych” wejściach na: Świstową Czubę, Gubałówkę, Kasprowy Wierch,... odpoczynek na Krupówkach.

Chciał, nie chciał w końcu nadszedł „ostatni” dzień mojego pobytu w górach i z ciężkim sercem oraz mocnym postanowieniem powrotu, wsiałem w pociąg mający dowieźć mnie do Łodzi. Urlop dobiegł końca, niemniej moja przygoda z górami, miała się dopiero rozpocząć. W łódzkiej „Manufakturze” działała ścianka wspinaczkowa, która wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, miała stać się w przyszłości moim „kolejnym domem”. Ale, żeby zachować chociaż pozory chronologii, wszystko po kolei.

Po powrocie z gór, względnie szybko wróciłem do tworzonej od pewnego czasu „normalności”. Niemniej podczas kolejnych wizyt, we wspomnianej, rewitalizowanej fabryce należącej w przeszłości do Izraela Poznańskiego, coraz częściej kierowałem wzrok ku dziesięciometrowym sztucznym ściankom w „Stratosferze”. W końcu nadszedł dzień, gdy ostatecznie przekonałem sam siebie do tego, by pójść i spróbować. O ile dwa pierwsze wejścia, mogę zaliczyć do udanych, o tyle podczas trzeciej próby zostałem z kretesem pokonany przez wznoszący się nad moją głową okap. Ale podobno nie ma tego złego, ... Ta pozorną porażką, stała się motorem napędowym dla kolejnych wizyt, które z czasem zaczęły się stawać regularne. Przez długi czas, moje wizyty ograniczały się do trzech wspinów i chociaż kilka osób namawiało mnie na zrobienie kursu asekuracji, ciągle jednak znajdowało się jakieś, ale... Sądzę jednak, że tak naprawdę potrzebowałem czasu na to, by była to „moja” decyzja.

W międzyczasie „śmiercią naturalną” umarło moje zainteresowanie tematyką PUA. Odnosiłem wówczas wrażenie, iż wypełniło ono swoją rolę w moim życiu. Wziąłem z tego rozdziału to, co miałem wziąć i mogłem ruszać dalej. Nieco wcześniej z przyczyn organizacyjnych musiałem zrezygnować z lekcji salsy, ale nad tym również długo nie rozpacziałem. W to miejsce pojawiła się siłownia, a już wkrótce istotną rolę w moim życiu miało odgrywać wspinanie. Regularne również stały się wizyty na basenie, a wzrost formy zaobserwowany po zrezygnowaniu z palenia, zachęcił mnie do tego, by powrócić do biegania. Ciągle sporo czytałem. Co i rusz starałem się wkraczać w tematykę, której dotychczas nie zgłębiałem.

W takich mniej więcej okolicznościach upływał mi kolejny semestr na uczelni i byłem krok bliżej, „upragnionego” licencjata. Powakacyjny powrót do szkoły wiązał się jednak z pewnymi konsekwencjami, czyli piątkowo – sobotnimi wieczorami spędzonymi z reguły, w jednym z klubów studenckich. Chociaż wypadły te nie przybierały już takiego charakteru jak te, które dotychczas były moim udziałem, ciągle jednak butelka z piwem, bądź kieliszek stanowił mój nieodłączny atrybut. Niemniej byłem już coraz bliżej miejsca i czasu, w którym jak sądzę sięgnąłem dna.

Mniej więcej równoległe z końcem semestru, przekonałem się do wspinania na tyle, że zdecydowałem się ukończyć kurs asekuracji, w związku z czym kolejnym etapem do mojej wspinaczkowej kariery stało się znalezienie partnera. Tę kwestię udało mi się dość szybko rozwiązać i równie szybko ilość czasu spędzanego na ścianie, zwiększyła się od trzech wspinów... do trzech godzin. Wspinałem się dopóki mięśnie przedramion nie krzyczały stop, ale po kilku miesiącach zacząłem dostrzegać efekty. Coraz pewniej czułem się na przewieszonych ścianach, powoli kierowałem myśli, ku poskręcanym drogom. Poznawałem również „na własnej skórze”, różnicę między plastrem, a przylepcem. Szybko rosła forma, ilość pokonywanych dróg i... co prawda w zaciśnięciu „mojego umysłu”, aczkolwiek również wzrastało, ego. Najważniejsze jednak było to, że samemu wspinaniu towarzyszyć zaczęły uczucia, których wcześniej nie dane mi było doświadczać...

Jeżeli w jakiś sposób miałbym opisać wspinaczkowe początki, to właśnie w taki. Dużo wspinania przeplatane z przekonywaniem się czy faktycznie chcę to robić. Nie był to jeszcze okres, gdy wspinaniu towarzyszyła szeroko rozumiana „literatura górską”, która w znacznej mierze i na długi czas miała przysłonić mi mój własny pogląd na kwestię wspinania i która miała w przyszłości przyczynić się do tego, że zawędrowałem nad skraj przepaści...

„Na dnie”

W rok po pierwszej wizycie w Tatrach, nadszedł czas kolejnych wakacji, w związku z czym pojawiło się pytanie. Dokąd się wybrać? Odpowiedź wydawała się oczywista. W związku z czym początek wakacji miałem spędzić w górach. Zanim jednak do tego doszło miały miejsce dwa wydarzenia, które zmusiły mnie do bliższego przyjrzenia się pewnym aspektom swojego życia.

Pomimo tego, że powoli zacząłem wyprowadzać swoje życie na prostą, cienie przeszłości ciągle się za mną ciągnęły. Jednym z takich cieni był alkohol, do którego krótko mówiąc miałem słabość. Przez pewien okres, udało mi się ograniczać picie na imprezach do 2-3 piw, ale z czasem granica ta zaczęła się „płynnie” przesuwac. Pewnego razu, korzystając z tego, że miałem wolny weekend postanowiłem udać się do domu. Umówiłem się ze znajomym i jego ówczesną narzeczoną na „piwko”. Piwko przekształciło się w drugie, drugie w trzecie... i tak mnie więcej do piątego, po czym demokratycznie zdecydowaliśmy o tym, że warto by pomyśleć nad czymś mocniejszym. Nie zastanawiając się długo skierowaliśmy nasze kroki do najbliższego sklepu, co okazało się początkiem końca wieczoru. To w jaki sposób dotarłem do domu, pozostanie dla mnie zagadką. Z kolei rano wszystko na co mnie było stać to spakować plecak i wrócić do Łodzi. Byłem wreszcie na dnie. Pozostawało mi jedynie, uświadomić to sobie...

Wkrótce po wspomnianym wydarzeniu, znów zjawiłem się w rodzinnych stronach. Związane było to z pewną rodzinną uroczystością. Oszczędzę sobie i tym, którzy może będą to kiedyś czytać, zagłębiania się w szczegóły. Ograniczę się tylko do tego, że przez większość nocy, pomimo tego, że ledwo się na nogach trzymałem, nie mogłem zasnąć. Miałem okropnego kaca moralnego i kilka godzin na to by nieco pomyśleć nad tym, dokąd zmierza moje życie. Rano przeżyłem swoiste Deja vu. Udałem się do domu, spakowałem plecak i wróciłem do Łodzi. Był jednak pewien szczegół, który odróżniał tę sytuację od wielu wcześniejszych. Powiedziałem

sobie:”Dość”. Stwierdziłem, że skoro nie jestem w stanie tego kontrolować, to pora z tym skończyć. I z tym mocnym postanowieniem, rozpocząłem można by rzec, nowy etap w moim życiu.

„Znów w górach”

Tak się akurat złożyło, że symboliczny początek mojego nowego życia pokrył się z wyjazdem w Tatry. Było to o tyle pozytywnym „zbiegiem okoliczności”, że miałem możliwość mentalnego przygotowania się na to co jak sądziłem spotkam po powrocie z gór.

Co do samego wyjazdu, to sam nie wiem jak go opisać. Mógłbym to właściwie sprowadzić do krótkiego, zwięzłego opisu:”Tydzień samotnych wędrówek, jedzenia i spania...”, ale z racji tego, że pojawiły się wówczas, w mojej głowie myśli, które w niedalekiej przyszłości miały nadać kierunek mojemu życiu, na chwilę się tu zatrzymam. Korzystając z tego, że większość czasu spędzałem sam miałem okazję spokojnego spojrzenia na moje dotychczasowe życie, głównie przez pryzmat ostatnich wydarzeń. Stopniowo uświadamiałem sobie, że przez długi czas balansowałem nad przepaścią i naprawdę niewiele brakowało, a runąłbym w nią i przepadł... Wiedziałem jednak, że prawdziwa próba dopiero przede mną. Niemniej w przeciwieństwie do wcześniejszych, tego rodzaju postanowień, tym razem czułem, że mi się uda. Byłem nawet na pewien sposób spokojny, choć przeczuwałem, że głosy przeszłości będą głośno krzyczeć.

Dużo do myślenia dawało mi również, ostatnie kilkanaście miesięcy mojego życia. Powoli zacząłem sobie uświadamiać, że to jak wygląda moje życie, zależy tylko i wyłącznie ode mnie. Z wolna przestawałem patrzeć na życie jak na szereg oderwanych od siebie pojedynczych dni, w miejsce tego coraz wyraźniej widziałem historię, która zaczęła się, tak mi się przynajmniej wydaje, dwadzieścia pięć lat temu i trwa do dziś. Patrząc na ostatni rok i porównując go z poprzednimi latami, zaczynałem coraz częściej dostrzegać sytuacje z przeszłości, w których pozwalałem, by to inni decydowali o tym co robię, o tym jak wygląda moje życie. Zacząłem sobie również zdawać sprawę z tego, że jeśli sam nie pokieruję swoim życiem, to zrobi to ktoś inny. Pojawiło się w związku z tym pytanie. Czy spodoba mi się to, co będzie miał do zaoferowania?

W takim, mniej więcej klimacie upłynął tydzień w Tatrach, w trakcie którego udało mi się wejść na Giewont, Szpiglasowy Wierch, wędrować „Orlą Percią”. Miałem również możliwość postawienia pierwszych kroków, po słowackiej stronie Tatr. Póki co była to tylko Dolina Białej Wody, ale od czegoś trzeba zacząć...

„Powrót”

Po powrocie z gór, faktycznie rozpoczął się okres mojej próby. Chociaż teraz pisząc o tym, na myśl przychodzi mi określenie: „Samospełniająca się przepowiednia”. Gdybym wówczas był tak „mądry” jak wydaje mi się, że jestem... Gdybym wczoraj rano pamiętał o tym, jak niebezpieczne w skutkach może być uwierzenie w to, że królik jest prawdziwy... No, ale nie ma co gdybać. Wróciłem do Łodzi, wróciłem do „normalności” i miałem zdobyć doświadczenia, o których teraz piszę. O ile od poniedziałku do piątku, kiedy to moje życie sprowadzało się głównie do wspinania i chodzenia do pracy, postanowienie które poczyniłem przed wyjazdem w góry nie było wystawiane na zbyt ciężkie próby, o tyle w weekendy, gdy spotykałem się ze znajomymi, jeszcze z czasów

studiów na Politechnice, utrzymanie go wymagało ode mnie dużo wysiłku. Etykieta „pijaka” i „moczymordy”, która przyłgnęła do mnie, dzięki nazwijmy to „rozrywkowemu trybowi życia”, który dotychczas prowadziłem, nagle przestawała mieć rację bytu. Co prawda, z początku wiele „życzliwych” osób, namawiało mnie na „choć jeden kieliszek”, bo „co to za impreza na trzeźwo”, wiedziałem już jednak z wcześniejszych doświadczeń, że jeden prędzej czy później doprowadzi do drugiego, drugi do trzeciego, aż znów wrócę do punktu wyjścia.

Każdej kolejnej imprezie, na której miałem okazję być, towarzyszył klimat docinek i powątpiewania w to, że uda mi się wytrwać w moim postanowieniu. I w czasie, gdy Ci których do tej pory uważałem za swoich znajomych, zaczynali stopniowo żyć moim życiem, a temat tego „co się ze mną dzieje”, stał się właściwie „stałym punktem programu”, ja powoli zacząłem dostrzegać, jak niewiele mnie z tymi ludźmi łączy. Ludzie, w których towarzystwie spędziłem około 4 lata swojego życia, nagle zaczęli stawać się dla mnie zupełnie obcy. A co w tym wszystkim było dla mnie najważniejsze, coraz mniej obchodziło mnie to co mogą sobie o mnie pomyśleć. Gdy po wieczornym „łyku wolności”, większość z nich wracała do „poniedziałkowo-piątkowej” rutyny, ja wracałem do wspinania, które wówczas już odgrywało ważną rolę w moim życiu, a w świetle wytrwania w moim postanowieniu miało stać się jeszcze ważniejszym elementem, mojej ziemskiej egzystencji. Ponieważ, jak czas pokazał zabawa dopiero miała się rozpocząć...

„Życie i... śmierć”

Po ostatniej wizycie w Tatrach, miałem świadomość, że wytrzymanie z dala od gór, przez okres kolejnych kilkunastu miesięcy, może się okazać nie lada wyzwaniem. W trakcie zeszłorocznego wyjazdu, ziarno zostało zasiane i zdążyło już wykiełkować, do tego stopnia, że myśli o powrocie w góry, stały się dominującymi w mojej głowie. Ja sam z kolei, coraz wyraźniej czułem, że oddalam się od rzeczywistości, w której dotychczas żyłem, tworząc miejsce dla czegoś nowego...

Korzystając z tego, że nie miałem żadnych planów na zbliżający się weekend, postanowiłem spakować plecak i spędzić chociaż dwa dni w Tatrach. Na pierwszy dzień pobytu zaplanowałem wejście na Kasprowy Wierch, stamtąd przez Świnicę na Zawrat i zejście do Doliny Gąsienicowej. Drugi dzień stał pod znakiem, z racji tego, że prognozy pogody nie nastrajały optymistycznie. Dodatkowo jak życie pokazało, zbytne koncentrowanie się na przyszłości, może mieć zgubne skutki.

Pierwszy etap mojej wędrówki został zrealizowany, no powiedzmy, zgodnie z planem. Po kilku godzinach od wejścia do Tatrzańskiego Parku Narodowego, stałem na wierzchołku Świnicy i podziwiałem... chmury nadciągające od słowackiej strony, które co prawda towarzyszyły mi przez zdecydowaną część wędrówki, niemniej sądziłem, że uda mi się zejść do schroniska nietkniętym przez deszcz. Ponoć, nadzieja matką głupich i tym razem to ja okazałem się takim głupim synem, za co zresztą miałem zostać upomniany. Podczas schodzenia ze Świnicy, w kierunku Zawratu ciągle jeszcze łudziłem się nadzieją, że zdążę zejść do „Murowańca”, jednak już kilka minut po opuszczeniu przełęczy zostałem szybko i brutalnie sprowadzony na ziemię. Najpierw zaczął padać deszcz, który po chwili przeszedł w grad. Nagle pod moimi stopami zaczęła płynąć rzeczka, a każdy krok stał się nagle tak ważny, jakby miał być ostatnim i rzeczywiście, w pewnym momencie poślizgnąłem się i nie wiem jak, ale

udało mi się chwycić osadzonego w skale łańcucha i nie dokonać swojego żywota na dnie Zawratowego Żlebu. Przez kilka kolejnych sekund leżałem na skale, z nogami nad przepaścią i ściskając łańcuch tak mocno, że przebiegła mi przez głowę absurdalna myśl, czy aby nie za mocno? Wreszcie udało mi się zebrać w sobie na tyle, żeby powoli wstać i zastanowić się, co dalej. Miałem do wyboru albo podejście z powrotem na przełęcz i stamtąd zdecydowanie łatwiejsze zejście do Doliny Pięciu Stawów, albo schodzenie dalej do „Murowańca”. Zdecydowałem się schodzić do Doliny Gąsienicowej, głównie z racji przesuwających się nad przełęczą chmur, które nie wróżyły, że może mnie tam spotkać coś dobrego. Wątpię czy kiedykolwiek wcześniej, byłem tak skupiony na „tu i teraz”, jak podczas tamtego zejścia. Dwa razy się zastanowiłem nim postawiłem kolejny krok. Nawet po zejściu w stosunkowo łagodny teren, pozostawałem skupiony do tego stopnia, że przestałem dostrzegać to się dzieje wokół mnie. Istotne stało się, postawienie następnego kroku i cała moja uwaga była skupiona tylko i wyłącznie na tym.

Wreszcie udało mi się dojść do „Murowańca”. Zrobiłem sobie herbatę, usiadłem i zacząłem rozmyślać. Do mojej świadomości powoli docierało to co się wydarzyło podczas schodzenia. Z wolna uświadamiałem sobie, że niewiele brakowało, a nie siedziałbym w schronisku i nie pił tej herbaty. Z wolna zaczęło do mnie docierać, że życie ma siostrę. A jest nią śmierć. Pomimo tego, że przez ostatnie lata, w wyniku prowadzonego przeze mnie trybu życia, wielokrotnie doprowadzałem do sytuacji, które mogły się dla mnie skończyć tragicznie, dopiero ta w górach potrzęsła mną do tego stopnia, że zacząłem patrzeć na życie z innej perspektywy. Dzieła zniszczenia w moim dotychczasowym sposobie myślenia dokonała wiadomość, którą usłyszałem dopiero następnego dnia. Siedząc w schronisku dowiedziałem się, że mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ja, krok po kroku próbowałem zejść z Zawratu, pod Giewontem zginął, będący mniej więcej w moim wieku turysta.

Chociaż tamten weekend, tamto wydarzenie znacząco odmieniły mój pogląd na życie, na góry, na wspinanie, to bynajmniej nie w takim kierunku jak mogłoby się wydawać...

„Krok”

Powrót z gór, bynajmniej nie oznaczał zupełnego powrotu do „normalności”. Miałem dużo, może nawet za dużo czasu na rozmyślanie i miałem o czym myśleć. W konsekwencji doszedłem do miejsca, w którym efekt końcowy tego połączenia, czyli przemyślenia, zaczęły nabierać konkretnego kształtu. Co najciekawsze w owym czasie wydawały mi się jak najbardziej sensowne, w związku z czym postanowiłem się nimi podzielić. Pomysł już był, pozostawało znaleźć odpowiednią formę. Po głowie chodziło mi stworzenie strony internetowej, napisanie książki. Ostatecznie wybór padł na bloga. Znalazłem stronę, na której miałem możliwość dzielenia się swoimi przemyśleniami, w związku z czym jedynym co mi pozostało to... zacząć pisać. Z początku przypominało to coś w rodzaju artystycznego nieładu, niemniej z czasem zaczęło nabierać pewnego kształtu. I w ten oto sposób czas jakim dysponowałem, musiałem rozdzielić pomiędzy wspinanie, pracę, spanie i prowadzenie bloga. Z racji tego, że czasu przeznaczanego na pracę, nijak nie byłem w stanie skrócić, czasu spędzanego na panelu skracać nie chciałem, w drodze eliminacji wybór padł na spanie.

Po niedługim okresie prowadzenia bloga zauważyłem, a może właściwiej będzie

napisać – poczułem, że pisanie przynosi mi coś na kształt satysfakcji. Chociaż bardziej pasowałoby w tym miejscu stwierdzenie: „czułem, że to co robię, jest tym co robić powinienem”. W pewnym sensie myśli, które przez dłuższy czas traktowałem jak swoje, z chwilą gdy przelewałem je na ekran monitora, przestawały być moje. Nie towarzyszyło jednak temu poczucie straty, a wręcz przeciwnie, ulgi. Z czasem zacząłem odnosić wrażenie, że pisanie tekstów staje się coraz bardziej naturalne. W pewnym momencie mógłbym nawet powiedzieć, że ja przestałem te teksty tworzyć. Jedynie za pomocą palców wstukiwałem w komputer, to co umysł ubierał w słowa. Sama treść wydawała się płynąć z zupełnie innego miejsca. Wyglądało to mniej, więcej tak, że przez pewien czas nawet nie myślałem, o tym żeby coś napisać. Żyłem, zajmowałem się swoimi sprawami, zbierałem doświadczenia, aż któregoś dnia siadałem przed komputerem, umysł i palce robiły to co do nich należało, a po godzinie stwierdzałem, że mam przed sobą gotowy artykuł...

Mniej więcej w tym samym czasie, po mojej głowie coraz częściej zaczęły się błąkać, zmuszające mnie do głębszego zastanowienia się nad własnym życiem i nad kierunkiem w jakim chcę podążać. Los chciał, że góry który niejako stały się impulsem, dla mojego przebudzenia, w przyszłości miały stać się drogą, którą zdecydowałem się wędrować. W świetle niedawnych wydarzeń myśl o powrocie w góry, w żadnym stopniu mnie nie przerażała. Powiedziałbym nawet, że wprost nie mogłem się doczekać, kiedy znów w nie wrócę. A przyszło mi bardzo długo czekać. Czasem odnoszę wrażenie, że trwało to nie kilkanaście miesięcy, a kilkanaście lub kilkaset lat...

O ile z jednej strony podjęta przeze mnie decyzja sprawiła, że czułem wewnętrzny spokój, o tyle z drugiej mój umysł zaczął tworzyć najróżniejsze historie, przy czym wszystkie one sprowadzały się do pytania „Co dalej?”. Z jednej strony umysł, krzyczał „Już, teraz, zaraz...”, a z drugiej jeszcze przez pewien czas trzymało mnie w Łodzi kilka spraw, m.in. szkoła. Czasem sobie myślę, że w tamtym okresie, co i rusz ocierałem się o szaleństwo, a ówczesny rozdźwięk pomiędzy to co mogłem robić, a tym co robić chciałem, w najmniejszym nawet stopniu nie przyczynił się do poprawy sytuacji, w której się znajdowałem.

Na szczęście miałem jeszcze ściankę, na której mogłem się wspinać, basen, książki oraz od pewnego czasu miejsce, w które często się udawałem, głównie z racji tego, że gdy będąc tam patrzyłem na zachód, jedyne co widziałem to drzewa, a ponad nimi otwarta przestrzeń i czasem zachód słońca. Oprócz tego, były jednak miejsca i sytuacje, w które czy mi się to podobało czy nie, musiałem się udawać, jak chociażby praca. A to z kolei stanowiło cudowną pożywkę dla mojego umysłu, który co i rusz podsuwał mi jakiś czarny scenariusz dotyczący mojej przyszłości. W takim mniej więcej nastroju, wewnętrznie rozdarty i nie za bardzo wiedzący co z tym zrobić, wkroczyłem w kolejny rok akademicki, w moim przypadku trzeci i jak sądzę, ostatni.

Wkrótce miał się odbyć w Łodzi kolejny „Explorer’s Festival”. Spośród kilkunastu zaproszonych i przygotowanych przez nich prelekcji, zainteresowało mnie kilka, ale szczególnie moja uwagę przykuła jedna. Przygotowana przez dwóch amerykańców, w wieku dwudziestu kilku lat, którzy mieli opowiadać o zdobyciu Everestu, oraz o podróży z bieguna północnego na południowy, jaką odbyli bodajże rok wcześniej.

W dniu prelekcji pojechałem na nią, tak na dobrą sprawę nic nie oczekując. Tak

naprawdę to nie wiem czego miałbym oczekiwać? Jechałem tam w dużej mierze, również dlatego, że chciałem spędzić trochę czasu pośród ludzi, którzy jak wówczas sądziłem, również czuli, słyszeli ten zewnętrzny głos, wzywający w nieznanym... Głos, który słyszę również teraz, gdy piszę te słowa. Co do samej prelekcji pojechałem tam głównie, po to żeby obejrzeć zdjęcia, posłuchać. Prezentację prowadził jeden z nich. Opowiadał o tym, jak w wieku czternastu czy piętnastu lat zobaczył zdjęcie Everestu i postanowił na niego wejść. Opowiadał o reakcji jego rodziców, gdy podzielił się z nimi swoimi planami. Na oświadczenie syna, że zamierza wejść na najwyższy szczyt świata, jego mama z wyrozumiałością pokiwała głową, po czym oznajmiła, że... jest już obiad. Potem przeszedł już do samej realizacji ich wspólnego pomysłu. Zaczął opowiadać o wyjazdach, treningach, zbieraniu pieniędzy i wreszcie, po bodajże czterech latach od zrodzenia się w ich głowach pomysłu, o samym wejściu na Everest. Następnie przeszedł do podróży z bieguna na biegun. Przygotowaniach, jej przebiegu...

On opowiadał, ja w milczeniu stałem i wsłuchiwałem się w to co mówi. Aż w pewnym momencie coś mnie „uderzyło”. Nie wiedzieć czemu w mojej głowie, pojawiło się pewne zdanie. „Nie od razu Rzym zbudowano”. Powiedzenie, które znałem od wielu lat, ale dopiero tamtego dnia, słuchając siedzącego naprzeciwko mnie człowieka, zaczynałem je rozumieć. Przez moment czułem się tak, jakbym przez całe życie patrzył w zasłonięte okno, wiedząc że jest to okno i wiedząc czemu ono służy, ale nie mając pojęcia co z tym zrobić. I w pewnym momencie ktoś podszedł i zerwał zasłonę...

W tamtym momencie oprócz tego, że zrozumiałem to powiedzenie oraz dostrzegłem jego znaczenie w swoim życiu, udało mi się również zrozumieć, choć może bliższe prawdy będzie stwierdzenie, że udało mi się poczuć różnicę, pomiędzy tym co rozumiem, a tym co wydaje mi się, że rozumiem. A w niedalekiej przyszłości wielokrotnie miałem się przekonywać, że różnica pomiędzy jednym, a drugim jest diametralna...

Chcąc w jakiś sposób pogłębiać swoją wiedzę o górach, w mojej głowie zrodził się pomysł uruchomienia strony internetowej o Tatrach. Od samego momentu „poczęcia” pomysłu do początków jego realizacji, upłynęło jednak sporo czasu, a to głównie z racji tego, że sam chciałem się przekonać czy naprawdę tego chcę. Gdy wreszcie otrzymałem odpowiedź w formie, która mnie w pełni satysfakcjonowała, wziąłem się do pracy. A jak się już wkrótce okazało, pracy było sporo. Gdy w głowie miałem już pewną formę, jaką chciałbym, żeby przybrała moja, rozpocząłem pisanie artykułów... i z początku utonąłem, w ogromie materiału, jaki przyszło mi ogarnąć. Niemniej po niedługim czasie, z tego twórczego chaosu, stopniowo zaczęły się wyłaniać kolejne artykuły i po około dwóch miesiącach miałem przygotowane po jednym artykule do każdego z zaplanowanych przeze mnie działów. Wtedy przyszła pora na zajęcie się stroną techniczną całego przedsięwzięcia, jednak w świetle tego, że nie miałem o tym zielonego pojęcia, zapowiadało się, że przede mną znów sporo pracy. Powoli, acz konsekwentnie zacząłem zgłębiać tajniki języka html i jak sądzę poszło mi to nad wyraz sprawnie. Minął kolejny miesiąc, a ja mogłem cieszyć się ze stworzonej przeze mnie strony. Chociaż prace nad nią był to swoisty wyścig z czasem, z racji zbliżającej się sesji, była to dla mnie wspaniała lekcja cierpliwości. Ponadto, w chwilach gdy coś szło nie po mojej myśli, nie zniechęcałem się, a zamiast tego starałem się znaleźć miejsce, w którym jak mi się zdawało tkwił błąd, a następnie naprawiałem go. Zdziwiająca dla mnie było również to, do jakiego stopnia prace nad tą stroną mnie

pochłoneły. Moim życiem było wówczas wspinanie, strona, a między tym praca. Zawiesiłem nawet na długi czas prowadzenie bloga, ostatecznie jednak i do niego udało mi się powrócić.

„...Gentlemen, welcome to the fight club”

„Podziemny krąg”, film który nie tyle zasugerował mi spojrzenie na własne życie z innej perspektywy, ile kazał to zrobić. Film, który gdybym wcześniej obejrzał, to poczułbym się zapewne jak sprzedawca ze sklepu nocnego, któremu Pitt przystawił pistolet do skroni. Film, w którym jak sądzę wielu współczesnych mężczyzn odnalazłoby kawałek siebie. Jeśli o mnie chodzi, to odnalazłem wiele takich kawałków, które stopniowo musiałem poskładać w spójną całość.

Z końcem roku zdecydowałem się ostatecznie opuścić akademik. Miałem się przeprowadzić do mieszkania wynajmowanego przez kolegę ze studiów. Co prawda jego standard „nieznacznie” odbiegał od warunków, jakie panowały, chociażby w akademiku, to na plus było to, że po kilku latach współdzielenia we trzech 15m², miałem mieć własny pokój, co w niedalekiej przyszłości miało się okazać nader istotne. Tak na dobrą sprawę można by rzec, że w moim życiu nic się nie zmieniło. Pracowałem, wspaniałem się, biłem z myślami... Coś się jednak zmieniło.

Wspomniany film przez długi czas nie dawał mi spokoju. W najróżniejszych sytuacjach pojawiały się w moich myślach sceny, z tego właśnie filmu, czego przez dłuższy czas nie byłem w stanie zrozumieć. Przebłysk zrozumienia pojawił się w najmniej oczekiwanym momencie, do czego zresztą zacząłem się już powoli przyzwyczajać. Pewnego dnia biorąc kąpiel, wpadł mi do wanny płat starej farby, który odpadł od sufitu. O ile samo zdarzenie niespecjalnie mnie przejęło, o tyle zaintrygowało mnie skojarzenie jakie mi się w związku z tym nasunęło. Pierwszą myślą, jaka pojawiła się w mojej głowie, była scena z „Podziemnego kręgu”, w której Tyler siedząc w wannie rozmawia z Jackiem. Do samej rozmowy, jeszcze we właściwym momencie wróć, w tym miejscu istotne jest to, że nagle zacząłem postrzegać swoje obecne życie, przez pryzmat tego filmu i przyznam szczerze, bardzo mnie zaintrygowało to co zobaczyłem. Jack po pracy miał walki, podczas gdy ja spędzałem czas na wspinaniu. Przeprowadzka do mieszkania, w którym z sufitu leciała farba, stare, pokrzywione okna w pokoju, które sprawiły, że zima stała się niezapomnianym doświadczeniem, odgłosy miłości dochodzące z sąsiedniego pokoju... To wszystko sprawiło, że nagle poczułem tak jakbym to ja grał w tym filmie. Dostrzegłem nawet to, że od dłuższego czasu tworzyłem swoje alter ego, które z czasem stało się mną. No cóż, podobno „... życie naśladuje sztukę, a sztuka życie”.

W myślach cofnąłem się do okresu przed tym nim obejrzałem ten film, chcąc jeszcze raz przyjrzeć się motywom, które skłoniły mnie do podążania taką, a nie inną drogą. Pojawiła się wówczas w mojej głowie koncepcja „Formy i treści”, która swoją drogą miała stać się moją stałą towarzyszką. Oglądając bowiem ten film i patrząc na swoje życie ze zdumieniem zacząłem odkrywać, że treść doświadczeń oraz motywy kierujące mną i bohaterem „Podziemnego kręgu” są tak naprawdę takie same, zmieniła się jedynie forma...

„Uczeń i mistrz”

Od kilku miesięcy wspaniałem się ze stałym partnerem. Spędzałem na ścianie

kilka dni w tygodniu, robiłem coraz więcej, coraz trudniejszych dróg. Co prawda najbardziej cierpiała na tym skóra moich palców, ale rolka plastra rozwiązywała problem. Krótko mówiąc, w kwestii wspinania jak mi się wydawało, wszystko zmierzało we właściwym kierunku.

Ano właśnie, wydawało... Na jednej ze ścian była ułożona droga, wyceniona na VI.2. Przez długi czas, brakowało mi śmiałości, by się w nią wstawić, ale w końcu w świetle ostatnich sukcesów, moje ego zostało nadmuchane do tego stopnia, że postanowiłem spróbować swoich sił na tej drodze. Pierwsza próba nieudana, druga podobnie, trzecia..., czwarta... Ilość wykonanych przeze mnie prób rosła wprost proporcjonalnie do rosnącej we mnie frustracji. W ciągu kolejnych wizyt na ścianie, kilkukrotnie wstawiałem się w tą drogę, za każdym razem z równie mizernym skutkiem.

Pewnego dnia będąc na ścianie sam, po wspinałem się około pół godziny, po czym stwierdziłem, że moje myśli są tak rozbiegane, że z dzisiejszego treningu i tak nic nie wyniknie. Ubrałem się i wróciłem do domu. Przez cały czas tłumaczyłem sobie, że wynikało to z zarwanej nocy, nie wyspania i ogólnego zmęczenia.

Zrobiłem sobie dzień odpoczynku od wspinania i dwa dni później znów byłem na panelu. Okazało się jednak, że niewiele to pomogło. Nie byłem w stanie skupić się na przechwytach, noga ześlizgiwała mi się z wielkich stopni, a i wewnętrznie czułem, że coś jest nie tak. Po godzinie, tego nazwijmy to wspinania, stwierdziłem, że dalsze siedzenie mija się z celem. Jednak, z racji tego, że w ten sam dzień byłem również w szkole, umysł znalazł wymówkę, na mój przejściowy brak formy, czyli... zmęczenie. Kolejne dwa dni odpoczynku, kolejna wizyta na ścianie i kolejny raz wracałem do domu z podkulonym ogonem. Powiedziałem partnerowi, że robię tydzień przerwy we wspinaniu, chociaż umysł podsuwał mi jeszcze czarniejsze scenariusze, włączając ten według, którego był to koniec mojej wspinaczkowej kariery.

Mimo wszystko starałem się uniknąć pograżania w czarnej rozpacz i próbowałem dojść do tego co się wydarzyło. Niestety pierwsze dwa dni, nieoczekiwanego urlopu niewiele zmieniły w mojej sytuacji, poza tym że były to dwa bez wspinania. Światelko w tunelu pojawiło się po trzech dniach. Ponieważ dojazd do pracy zajmował mi ponad dwadzieścia minut, czas ten z reguły wykorzystywałem na czytanie. Tego dnia postanowiłem zabrać ze sobą „Życie na czubkach palców”, głównie z myślą o tym, by zająć czymś rozbiegany umysł. Po piętnastu minutach lektury, wiedziałem już co się stało. Zeżarła mnie próżność. Po długim okresie, gdy wznosiłem się na szczyt formy i... próżności, przyszła pora na bolesny upadek. Za każdym razem, gdy odpadałem na wspomnianej drodze, moje ego dostawało w policzek, aż w końcu doszło do tego, że jego jedynym celem stało się uciec od świata i ludzi. Skąd wiedziałem, że to akurat to? Po prostu wiedziałem, czułem... A w związku z tym pozostawało pytanie co z tym zrobić. Pogodzić się z tym, że droga jest poza moim zasięgiem, czy jeszcze więcej trenować, włączając w to bouldering? Wybór był oczywisty. Pozostała część „urlopu”, ledwo mogłem usiedzieć na miejscu. Po prostu paliłem się do wspinania. Stwierdziłem jednak, że mimo wszystko tygodniowa przerwa dobrze mi robi. W końcu jako pełen pokory uczeń mogłem wrócić, do mistrza jakim okazała się ściana i do robienia tego co naprawdę chciałem robić.

Ilość wizyt na ścianie zwiększyłem do czterech tygodniowo. Za każdym razem, wstawiałem się w „moją” drogę, z tą różnicą, że powoli uczyłem się jak akceptować,

każdą „pozorną” porażkę. A po trzech miesiącach jeden, jedyny raz udało mi się ją zrobić...

„Książki”

Z początku czytanie stanowiło całkiem przyjemną formę spędzania wolnego czasu. Czytałem dużo, zupełnie odmiennych książek. Od książek psychologicznych, przez thrillery, horrory, dramaty, aż po komedie. Ważne miejsce zajmowała również wspomniana już literatura górską. Z czasem dopiero zorientowałem się jak ważne i jednocześnie zgubne mogą się to dla mnie okazać. O tym jak niesamowicie, historie o których czytałem pobudzały moją wyobraźnię, chyba nie muszę nikogo przekonywać. Czytałem o pierwszych zdobywcach szczytów, a w myślach chciałem być tacy jak oni. Czytałem o Kukuczce, Messnerze, Buhlu... i przed oczami widziałem siebie wdrapującego się na ośmiotysięczniki. Czytałem o podróżnikach, wędrowcach, odkrywca i byłem w każdej chwili gotów założyć buty i udać się w ich ślady...

Odnosiło się to zresztą nie tylko do literatury górskiej, niemniej to właśnie ona miała największy wpływ na moją wyobraźnię. Żeby w jak najprostszy sposób ująć to co wówczas miało miejsce w mojej głowie, to napiszę iż utożsamiałem się z wspomnianymi ludźmi. Chciałem być taki jak oni. Moje myśli wypełniać się zaczęły najróżniejszymi historiami, które prowadziły do tego, że wewnętrzne rozdarcie, które od dłuższego czasu mi towarzyszyło, powiększało swoje rozmiary. Przepaść pomiędzy tym gdzie chciał być mój umysł, a tym gdzie faktycznie znajdowało się moje ciało, stawała się coraz większa, a to nie wróżyło nic dobrego. O ile na krótką metę, nie ma nic złego w daniu się ponieść fantazji, o tyle w dłuższej perspektywie może to mieć fatalne skutki. Tak właśnie miało być w moim przypadku. Przyznam szczerze, że w tamtym okresie zdarzały się chwile, gdy balansowałem na granicy szaleństwa. Z jednej strony był świat strzelistych turni, ośnieżonych gór, ludzi którzy smakowali wolności..., a z drugiej otaczająca mnie rzeczywistość. Sztuczna ścianka, praca która bynajmniej nie przyczyniła się do poprawy mojego stanu mentalnego. A w tym wszystkim ja. Uwieczony przez miejsce i czas. Ale czy aby na pewno? Wówczas tak sądziłem...

Co prawda, podobno „...miasta i warownie budują przede wszystkim ludzkie marzenia”, w związku z czym, bardzo możliwe, że gdzieś, kiedyś dane mi będzie zdobywać niezdojane szczyty czy prowadzić nowe drogi wspinaczkowe. Marzę również o tym, by kiedyś wędrować przez rozległą, wolną od wszelkich przejawów cywilizacji równinę, na której moim „jedynym” celem będzie horyzont, o przejechaniu rowerem Norwegii, wspinaniu na wielkich ścianach..., ale jak to gdzieś, kiedyś ktoś mądry powiedział „Nie od razu Rzym zbudowano”... Zanim jednak dojrzałem do tak głębokich przemyśleń przez długi czas ocierałem się o krainę obłędu, której Władca chętnie by mnie widział, jako swojego poddanego. Jednak te same książki, które z jednej strony, przyczyniły się do takiej, a nie innej sytuacji, z drugiej strony pozwalały mi wierzyć, że życie ma naprawdę wiele do zaoferowania, a ja bardzo mocno chciałem z tego faktu skorzystać.

Z ogromu książek o tematyce górskiej, jakie w owym czasie przewinęły się przez moje ręce, dwie stały się dla mnie szczególnie ważne. Pierwszą z nich było „Życie na czubkach palców” Stefana Głowacza. Książka po przeczytaniu, której uwierzyłem, że marzenia się spełniają, nawet te największe. Jedyne co musimy, to wyciągnąć po nie

reçe... W przypadku wspinania, dosłownie i w przenośni. Po jej lekturze, zacząłem sobie powoli zdawać sprawę, z tego jak ważne jest wzięcie odpowiedzialności za własne życie. Na tym etapie mojej wędrówki przez życie, w którym się wówczas znajdowałem, gdy książka ta po raz pierwszy trafiła w moje ręce wywarła ona na mnie tak duży wpływ, że po dziś dzień uważam tego człowieka za mojego duchowego ojca. Człowieka, który dał mi impuls do tego by działać i wierzyć w to, że jestem w stanie zrealizować, nawet największe marzenia.

Do książki tej wracałem wielokrotnie, na różnych etapach swojej wędrówki. Gdy znalazła się na mojej drodze po raz pierwszy, moja przygoda ze wspinaniem dopiero się zaczynała. Przez kolejny rok wielokrotnie po nią sięgałem, chociaż nie do końca zdawałem sobie sprawę czym to było spowodowane. Nie wynikało to chęci oderwania się od rzeczywistości, bo z reguły, gdy docierałem do tej części książki, w której autor opisywał swoje podróże, przeważnie kończyłem jej lekturę. Czułem raczej, niż wiedziałem, że jest to człowiek, który doskonale by mnie zrozumiał. Z kolei w okresie, gdy miałem osamotniony wędrować przez „pustynię”, czułem, że podobnie tak jak ja wówczas, on również gdzieś, kiedyś przez nią podążał...

Drugą książką, która wywarła na mnie duży wpływ i która pozwoliła mi spojrzeć na wspinanie z innej perspektywy, było „Prostowanie zwojów” Tomasza Hreczucha”. Książka, która w przeciwieństwie do „Życia na czubkach palców”, które rozbudziło moją nadzieję, okazała się niczym kubek zimnej wody, na moim rozgrzanym do czerwoności ciele. Po jej przeczytaniu czułem się tak, jakby mnie ktoś kopnął w brzuch. Czytałem o początkach wspinania Hreczucha i odnosiłem wrażenie, że widzę w tych słowach siebie. Opowiedziana przez autora historia, sprawiła że moja względnie poukładana wizja siebie w przyszłości, rozsypała się niczym domek z kart, a ja sam poczułem się jakby mnie ktoś rozebrał do naga i wyrzucił w centrum wielkiego miasta w godzinach szczytu. Autor rozłożył na czynniki pierwsze etykietę „wspinacza”, która wówczas tak wiele dla mnie znaczyła, że przez długi czas wyrzucałem sobie sięgnięcie po tą książkę. Po lekturze „Prostowania...”, zacząłem sobie również zdawać sprawę z tego, że to co robię prędzej czy później się skończy. Chociaż sądzę, że bliższe prawdy będzie stwierdzenie, że taka myśl zaczęła dobijać się do mojej świadomości, podczas gdy ego, przez pewien czas skutecznie, ją przeganiało. Bądź, co bądź wspinanie choćby nie wiem jak wspaniałe się wydawało, podobnie jak wszystko inne jest jedynie przejściową formą, w której będę wyrażał to kim jestem, przez 5 lat? A może przez 20? Zdecyduję, albo Ja, albo moje ciało. Jak już wspomniałem, po dotarciu do ostatniej strony moim największym marzeniem, stało się jak najszybsze zapomnienie o tej książce. Choć jak czas pokazał, to akurat marzenie nie miało się ziścić. Może za słabo chciałem... A może dopiero teraz, z perspektywy czasu, zaczynam doceniać to co Hreczuch dla mnie zrobił. Czasem wydaje mi się, że to właśnie dzięki tej książce, udało mi się nabrać dystansu do stworzonej przeze mnie wizji siebie jako wspinacza, a to z kolei, paradoksalnie, pozwoliło mi się rozwijać, właśnie jako wspinacz. A może jeszcze nie w pełni to dostrzegam naukę, jaka zawarta była w jego opowieści. Wcale by mnie to nie zdziwiło...

„La vita e bella”

Wydawać by się mogło, że okreśłmy to „przygoda”, która spotkała mnie podczas weekendowego wyjazdu w Tatry powinna nauczyć mnie szacunku dla życia. I tak w

rzeczywistości było, chociaż sam się czasem zastanawiałem nad sposobem w jaki ten szacunek się objawia. Był to czas, gdy po półtorarocznym okresie wspinania się na wędkę, zdecydowałem się rozpocząć swoją przygodę z prowadzeniem dróg. Prowadzenie od „wędkowania”, różni się tak na dobrą sprawę tylko tym, że lina nie jest zawieszona w stanowisku na końcu drogi, a wpinana kolejno w przeloty podczas przechodzenia drogi. Dochodzi do tego jednak, jeszcze jeden zasadniczy czynnik. Zupełnie inaczej pracuje „głowa”, o czym w niedalekiej przyszłości miałem się wielokrotnie przekonać. Z racji tego, że podczas prowadzenia lina wpinana jest do przelotów, które są przed wspinaczem, prowadzenie często kończy się kilkumetrowymi lotami, a w przypadku dziesięciometrowej ściany, na której mi przyszło stawiać pierwsze kroki istniało ryzyko, że lot z połowy wysokości zakończy się tuż nad ziemią.

Na jednym z przewieszzeń, była „skrecona szóstkowa” droga. Na „wędkę” nie stanowiła większego problemu, może z wyjątkiem jednego przechwyty, ale z tym akurat udało mi się szybko uporać. Dużo gorzej, bynajmniej w świetle tego co podpowiadał mi mój umysł wyglądała kwestia poprowadzenia tej drogi. Czwartą wpinkę przyszło mi bowiem robić stojąc nogami powyżej trzeciego przelotu, w dodatku będąc wysuniętym na lewo od linii ekspresów. Gdyby przyszło mi to robić na wyższej wysokości to prawdopodobnie nie stanowiłoby to większego problemu, w tym jednak miejscu, ewentualny lot mógł się zakończyć tuż nad ziemią, w najgorszym przypadku „z przytupem”. A tego rodzaju sytuacje stanowiły z kolei wspaniałą pożywkę dla mojego umysłu, który od dłuższego czasu lubował się w tworzeniu historii, opowiadających o tym dlaczego nie powinienem czegoś robić. O ile pierwsze próby poprowadzenia tej drogi, zakończyły się przed ową czwartą wpinką, o tyle gdy już udało mi się wyjść nad trzeci przelot, po to żeby ostatecznie się wycofać, mój umysł przystąpił do ofensywy. Zaczął wysuwać, jak najbardziej logiczne argumenty przemawiające za tym, że podjąłem słuszną decyzję, że gdybym w tym miejscu odpadł mogłoby się to różnie skończyć, że dostałem już nauczkę za lekkomyślne traktowanie życia itp. Pozornie, każdy z tych argumentów wydawał się jak najbardziej sensowny, zwłaszcza ten ostatni. Ale tylko pozornie...

Wspinanie od pewnego okresu zaczęło stanowić dla mnie coś więcej, niż formę spędzania czasu. Powoli stawało się, chociaż wówczas nie byłem w stanie ubrać tego w słowa, formą wyrażania siebie. Było moją formą wyrażania wolności. I chociaż zdawałem sobie sprawę z tego, że ewentualny lot może mieć tragiczne konsekwencje, miałem już również świadomość, że prędzej czy później i tak umrę. Może się to nawet zdarzyć tego akurat dnia, gdy w drodze ze ścianki do domu wpadnę pod samochód, bądź podczas wieczornego spaceru zostanę napadnięty i pobity. Bo kto tak naprawdę dał mi pewność, że dożyję następnego dnia? Skąd wiem, że dzisiejszy dzień nie jest moim ostatnim? Że oglądany przeze mnie zachód słońca, nie jest ostatnim jaki dany mi będzie oglądać? W tym świetle, oraz tego czym stawało się dla mnie wspinanie, doszedłem do wniosku, że jeśli strach przed śmiercią powstrzymuje mnie przed robieniem tego co chcę robić, to nie warto żyć. Po to wiązuje się z partnerem liną, żeby on wyłapał ewentualny lot. Jeśli nie jestem w stanie zaufać mu do tego stopnia, by wiedzieć, że przy ewentualnym locie on zrobi wszystko co będzie w stanie zrobić, żeby mnie w jednym kawałku opuścić na dół, to równie dobrze już dziś mogę rzucić buty wspinaczkowe w ką. A jeśli mimo wszystko nie uda się? Coś pójdzie nie tak? No cóż, życie... Przynajmniej umrę ze świadomością, że robiłem to co chciałem robić. Czuję

wówczas, choć nie wiedziałem gdzie leży źródło tego przecucia, że jeśli coś się stanie i będzie to ostatnia rzecz jaką w życiu zrobię, to umrę jako wolny człowiek. Dziś w dalszym ciągu tak uważam, więc albo wtedy podjąłem właściwą decyzję, albo od kilku miesięcy stoję w miejscu?

Wracając jednak do targających mną wątpliwości. Przytoczony wyżej zarys rozmowy pomiędzy mną a moim umysłem, miał miejsce w autobusie, gdy korzystając z kilku wolnych dni wracałem do domu. W pewnym momencie trwania tej zażartej dyskusji, ujrzałem cały problem siedzący w mojej głowie, takim jaki jak sądzę, w rzeczywistości był. Jako kamień na drodze, który wystarczy ominąć, bądź podnieść wyżej nogę, by uniknąć potknięcia się o niego. Uświadomiłem sobie wielokrotnie zaliczałem już krótsze, bądź dłuższe loty i każdy z nich, w moim umyśle, był takim właśnie kamieniem, który po prostu omijałem, bądź przeskakiwałem. A ten przed którym właśnie stałem, chociaż wydawał się być dużo większy, w gruncie rzeczy ciągle pozostawał kamieniem...

Po powrocie do Łodzi, podczas pierwszej wizyty na panelu, obowiązkowym punktem treningu, stała się wspomniana droga. O ile pierwsza próba zakończyła się przy czwartej wpince, o tyle podczas kolejnej próby udało mi się ruch do chwytu, z którego mogłem się wpiąć. Co prawda chwile później odpadłem, ale to co było dla mnie najważniejsze zrobiłem i przyznam szczerze, tym razem wyjątkowo nie miało dla mnie znaczenia to, że nie poprowadziłem tej drogi do końca. W przyszłości jeszcze wielokrotnie wstawałem się w tą drogę, raz z lepszym, raz z gorszym skutkiem. Co prawda nie udało mi się tej drogi poprowadzić i pozornie mógłbym mówić o porażce, ale tylko pozornie, ponieważ w tym wypadku odniosłem zwycięstwo na dużo głębszym poziomie.

„Pustynia”

Chociaż od dłuższego czasu miałem w głowie pewną wizję swojej przyszłości, ciągle pozostawała jeszcze kwestia jej realizacji. A właściwie to niemożności jej zrealizowania, bo po raz kolejny docierałem do punktu, w którym umysł i ciało znajdowały się w różnych „gdzieś, kiedyś”. Do tego dochodził rozpad świata w jakim dotychczas żyłem, a to ostatecznie przyczyniło się do tego, że czułem się tak, jakbym wędrował przez pustynię. Nie tyle samotny, ile osamotniony. W samym sercu wypalającej z zewnątrz i od środka pustyni, gdzieś na horyzoncie, dostrzegający coś może być upragnioną oazą, dającą nadzieję i odpoczynek od morderczego słońca, ale równie dobrze może się to okazać kolejną fatamorganą. Co prawda, kilka osób z którymi podzieliłem się swoimi myślami, twierdziło, że rozumieją co przeżywam i chociaż jestem im wdzięczny za słowa otuchy, to wątpię, by można było poznać czym jest pustynia, jedynie o niej słuchając.

...Umierałem. Byłem niczym feniks. Każdego dnia budziłem się tylko po to, żeby w ciągu kolejnych godzin, stać się ofiarą, toczącej się we mnie wojny. Wszystko w co dotychczas wierzyłem... Wszystkie wartości, przekonania, które przez te wszystkie lata, próbowano mi wpoić, nagle zaczęły się rozpadać niczym domki z kart. Szedłem ulicą, widziałem rodziny i zastanawiałem się, po co? Zakładać rodzinę tylko po to, żeby przedłużyć gatunek? Przekazać dziecku wartości, w które „wierzę”? Każdego dnia przekonywałem się, że to w co dotychczas wierzyłem, okazało się ulotne, niczym obłok... Szedłem do pracy i zastanawiałem się po co? Żeby zarobić pieniądze. Po co mi

pieniądze? Po to żeby żyć. Po co żyć? Znajdowałem się na granicy rozpacz. Bywały dni, gdy marzyłem o tym, żeby to zakończyć... Zdarzały się dni, gdy marzyłem o zaśnięciu... Bywały dni, gdy leżałem na podłodze i płakałem nie będąc w stanie się podnieść... Ale wówczas pojawiał się w głowie kolejny głos. Głos, który przypominał mi, że to część drogi, którą zdecydowałem się podążać... Część życia, którym zdecydowałem się żyć i jeżeli brak mi odwagi by stawić temu czoła, to pora umierać. Jeżeli brak mi sił, by się podnieść, to już się nie podniosę. I podnosiłem się. Wstawałem i szedłem dalej... Nie wiedziałem jak, ale czułem że już wkrótce to się skończy. Wiedziałem, że albo mnie to zabije, albo uczyni silniejszym... Wiedziałem jednak, że chaos panujący dodatkowo w mojej głowie, w najmniejszym stopniu nie poprawia sytuacji, w której się znajduje....

I w takich mniej więcej okolicznościach, doszło do tego po raz kolejny zdecydowałem się sięgnąć po książkę Stefana Głowacza, lecz tym razem „Ja” jako uczeń, zjawiający się u nauczyciela, który może mi wskazać drogę i który być może wie co zrobić z tymi elementami układanki, które dla mnie były jak kawałki puzzli powyciągane z różnych pudełek. Bo czy jest tak naprawdę jakakolwiek różnica pomiędzy nauczycielem stojącym w klasie czy auli wykładowej, a przekazującym Ci nauki za pomocą książki? Czy rodzice, jeśli zdjąć z nich etykietkę „rodziców”, nie są naszymi pierwszymi nauczycielami? „Chcę” odnaleźć odpowiedzi na nurtujące mnie, „chcę” odkryć punkt, w którym popełniam błąd, po raz kolejny usiadłem do lektury jego książki. I stopniowo, coraz bardziej się w nią zagłębiając, zacząłem odnajdywać etapy, sytuacje, w których jak sądziłem popełniałem błąd. Powoli zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że główną przyczyną wojny, mającej miejsce wewnątrz mojej głowy, był mój umysł, a właściwie to ja sam, pozwalając na to, by umysł przejmował kontrolę nad moim życiem. Coraz wyraźniej dostrzegałem to, że moje wewnętrzne rozdarcie, w głównej mierze spowodowane jest tym, że mój umysł karmi się stworzonymi przeze mnie wyobrażeniami dotyczącymi mojego przyszłego życia, podczas gdy Ja jestem „tu i teraz”. I chociaż ten sam umysł podpowiadał mi, że tak ma być, że muszę pamiętać o tym dokąd zmierzam, to wewnątrz czułem już, że nie tędy wiedzie droga. Mimo iż, jak wówczas sądziłem, udało mi się znaleźć przyczynę wewnętrznego konfliktu, zupełnie inną kwestią był rozpad świata wartości, w jakim przez wiele lat byłem wychowany. Rozpad, któremu przez jeszcze długi czas, miałem ulegać. W tamtym momencie jednak najważniejsze było to, że udało mi się znaleźć punkt zaczepienia, który dawał mi nadzieję na to, że ostatecznie uda mi się uciszyć, krzyczące „głosy”.

Mimo iż obecnie mam świadomość tego, że tak naprawdę to tkwiąca we mnie chęć rozwiania spowijającego mnie mroku, sprawiła, że to nastąpiło, to nie wiem jak by się potoczyły moje losy, gdybym nie miał przed sobą historii człowieka, który jak sądzę podążał tymi samymi ścieżkami. Może do tej pory błąkał bym się po ulicach szukając odpowiedzi? może pisałbym te słowa z oddziału zamkniętego? A może udało by mi się znaleźć innego „nauczyciela”? Tego już się nie dowiem. Wybiegając nieco w przyszłość, wspomnę tylko, iż końcu nadszedł moment, gdy podobnie jak w swoim czasie opuszczałem mury szkoły; moich pierwszych nauczycieli, czyli rodziców, tak ścieżka moja i Głowacza musiały się wreszcie rozejść. W pewnym gdzieś, kiedyś przyszło mi odłożyć na półkę książkę, której autor tchnął we mnie życie, a w momencie, gdy podążałem przez mrok, pomógł mi przez niego przebrnąć. I chociaż

często w myślach kłóciłem się z jego poglądami na niektóre sprawy, to sądzę iż jest to naturalna kolej rzeczy. Co prawda głęboko wierzę w to, że kiedyś dane mi będzie stanąć z nim twarzą w twarz i osobiście podziękować mu za wszystko co dla mnie uczynił, za to kim był i za to, że jak sądzę cały czas starał się pozostać wierny przede wszystkim sobie, za co przyszło mu zapłacić wysoką cenę. Póki co, korzystając z kart tej książki, napiszę po prostu "Dziękuję".

„Cisza”

Od pewnego czasu interesowałem się buddyzmem. Co prawda już około rok wcześniej sięgnąłem po pierwszą książkę poświęconą tej filozofii, religii, sam nie wiem jak to określić, jednak w świetle niemożności zrozumienia tego co wówczas czytałem, doszedłem do wniosku, że albo nie dane mi będzie bliżej zgłębić ten temat, albo po prostu jeszcze do tego nie dorosłem. Kilka kolejnych miesięcy pozwoliło mi dojrzeć na tyle, że byłem w stanie przebrnąć przez parę pozycji, które w niewielkim stopniu pozwoliły mi zrozumieć o co tak na dobrą sprawę chodzi w koncepcji buddyzmu. O ile „ja” byłem w stanie zaakceptować buddyzm jako życiową drogę, równoległą do tej, którą sam podążałem, o tyle mój umysł wydawał się mieć w tym temacie wiele do powiedzenia.

Od pewnego czasu tym co uważałem, zresztą nawet teraz pisząc te słowa również tak uważam, za naprawdę istotne w życiu, była Wolność. Rozumiana jako podążanie drogą, którą naprawdę chce się podążać, robienie tego co naprawdę chce się robić, stawanie się tym kim naprawdę chce się stać. Ja już od dłuższego czasu za drogę, którą podążam, bo chcę nią podążać uważałem wspinaczkę. Wiazało się to jednak, zresztą nadal tak jest, z pozornym egoizmem, który często przejawiał się tym, że ktoś chciał się ze mną spotkać, a dla mnie ważniejszy był trening. I tak faktycznie było. Wspinanie było dla mnie ważniejsze. Po treningu, mogłem się z kimś spotkać, porozmawiać, ale kolejność była taka – najpierw ja, potem inni, a na końcu cała reszta.

Buddyzm z kolei jak to wówczas rozumiałem, skłaniał się ku „życiu w służbie innym”. „Żyj tak, aby Twoje życie przynosiło pożytek otaczającym Cię istotom”, swoiste hasło, do którego, na tamtym etapie swojego życia, mógłbym sprowadzić, moje zrozumienie buddyzmu. Ponadto buddyzm, jak mi się zdawało, nawoływał do pogłębiania swojej wiedzy, gdyż to właśnie niewiedza jest przyczyną wszelkich zaciemnień. Podczas gdy ja od dłuższego czasu, za właściwą drogę uznawałem, bezpośrednio doświadczenie. W taki oto sposób, te pozorne różnice przyczyniły się do tego, że jeszcze przez jakiś czas, koncepcje buddyzmu kłóciły się z tymi, które wysuwało moje „ego”.

Z czasem jak sądzę udało mi się odkryć błąd, który wówczas popełniałem. Czy to wskutek niewiedzy czy braku właściwego doświadczenia? Sam już nie wiem. Wydaje mi się, że jednego i drugiego. Zanim to jednak nastąpiło, musiałem udać się do jeszcze jednego nauczyciela...

Był to również okres gdy, trwająca we mnie wojna, zaczęła przybierać na intensywności, do tego stopnia, iż miałem świadomość, że jeśli czegoś z tym nie zrobię, mogę zacząć dostrzegać tylko jedno rozwiązanie. Uznałem wówczas, że „mój konflikt” z buddyzmem, nie stoi na przeszkodzie temu, bym spróbował medytacji. Posiadając o niej mgliste pojęcie, pewnego dnia usiadłem na podłodze, skrzyżowałem nogi, wyprostowałem plecy i zgodnie z tym co, gdzieś przeczytałem, zacząłem koncentrować

uwagę na oddechu, a w momencie, gdy rozpraszała ją jakaś myśl, mówiłem „stop”. Po, jak się później okazało, zaledwie kilku minutach ciszy w mojej głowie, czułem się co najmniej, skonsternowany. Z jednej strony, wspaniale było czuć wewnętrzny spokój, ale z drugiej strony czułem, że spędzanie całych dni na medytacji, to nie jest droga, którą chcę podążać. Niemniej postanowiłem, umieścić medytację na stałe, w moim codziennym programie.

Kilkuminutowe, z początku sesje, zaczęły się wydłużać do kilkunastu, czasem kilkadziesiąt. Po niedługim czasie, zacząłem medytować rano i wieczorem. Coraz częściej, zacząłem się również przyłapywać na tym, że z niecierpliwością wyczekuję chwili, gdy będę mógł usiąść w zaciszu pokoju i pozwolić myślom odpłynąć. Pierwsze efekty zaczęły się pojawiać po kilku tygodniach. O ile w trakcie trwania medytacji, coraz dłuższe stawały się okresy, gdy udawało mi się utrzymać „stan nie myślenia”, o tyle coraz częściej zaczynałem zadawać sobie pytanie. Skoro jestem w stanie utrzymać ten stan, siedząc na środku pokoju ze skrzyżowanymi nogami, to co mi stoi na przeszkodzie, żeby przenieść go na inne sytuacje w moim życiu? Przy czym głównie odnosiło się to do czasu spędzanego w pracy, z uwagi na to, że atmosfera oraz ludzie, a którymi miałem wówczas okazję pracować, sprawiali, że mój umysł stale mi przypominał o tym co, chciałem zostawić za sobą. Wyglądało to mniej, więcej tak, że wspinając się, biegając, robiąc to co uwielbiałem robić, czułem, że nie ma rzeczy niemożliwych, że uda mi się zrealizować wszystkie marzenia, dotrzeć tam dokąd chcę dotrzeć. Z kolei będąc w pracy, umysł bombardował mnie myślami, że to wszystko to tylko bajka, która już wkrótce się skończy, a ja zostanę w tym miejscu do końca życia... Jak na ironię, ten sam umysł, który poprzez swoje rozbieganie, doprowadził mnie na skraj rozpaczy, podsuwał mi myśli, że tak naprawdę to tylko stek bzdur, którym się karmię.

Jak już wyżej wspomniałem, koncepcja wprowadzenia „życiowej” medytacji, wydała mi się na tyle interesująca, że skupiłem się na znalezieniu sposobu na jej realizację. Pierwszym krokiem okazało się coś co mógłbym nazwać akceptacją, ludzi z którymi pracuję, sytuacji w jakiej się obecnie znajduję, sądzę, iż bardziej będzie tu pasować stwierdzenie, że starałem się powstrzymać mój umysł przed tworzeniem jakichkolwiek historii, na temat ludzi, którzy mnie otaczali, sytuacji w której się znajdowałem. I chociaż umysł stale bombardował mnie najróżniejszymi myślami, z czasem coraz wcześniej zaczynałem dostrzegać rodzącą się myśl, po to by po chwili ją uciąć. W mojej głowie zaczęło być coraz ciszej. Dodatkowo stworzyłem pewien rodzaj medytacji, którą mogłem w każdej stosować. Zatrzymywałem się, dosłownie i w przenośni, głęboko oddychałem i wyobrażałem sobie otaczający mnie krąg energii, który przy każdym wdechu wznosi od stóp, aż po czubek głowy, z kolei podczas wydychania powietrza, pokonywał tę samą „drogę”, z tym, że w drugą stronę, jednocześnie, zbierając kłębiące się w głowie. Gdy taka myśl, zrównywała się już z moimi stopami, miałem możliwość spojrzenia na nią z zupełnie innej, niż dotychczas perspektywy. Coraz częściej, gdy miałem możliwość takiego spojrzenia na to co siedzi w mojej głowie, a co w przeszłości było przyczyną ostrego konfliktu pomiędzy mną, a moim umysłem... po prostu się uśmiechałem. Przy czym, dziś już sam nie wiem z czego się wówczas śmiałem. Z absurdalności niektórych myśli, czy z samego siebie? Sądzę, że w pewnym stopniu zarówno z jednego, jak i drugiego.

„Droga”

Korzystając z tego, że na „pustyni”, którą dotychczas podążałem coraz częściej pojawiać się zaczęły, dające schronienie „oazy i pojedyncze drzewa”, miałem nieco więcej czasu, próbę poskładania w całość elementów, które od dłuższego czasu ze sobą niosłem. Pozostawała jeszcze kwestia złożenia „samego siebie”. Chociaż nie miałem jeszcze specjalnie koncepcji, jak to zrobić, to czułem, że jeśli mi się to uda, człowieka, który będzie na mnie patrzył z lustra, z tym, którego, do tej pory mogłem oglądać, będzie łączyła jedynie zewnętrzna forma i nazwisko...

Na pewnym mojego życia, historii pisane przez różnych ludzi, zwłaszcza alpinistów, zacząłem łączyć ze sobą wspólnym określeniem, „droga”. Będąc bogatszy o kilka kolejnych pozycji oraz garść własnych doświadczeń, które udało mi się w tym czasie zebrać, koncepcję, którą sam nazywałem „drogą do ośmiotysięczników”, poszerzać zacząłem o „drogę do...?” No właśnie, nie za bardzo wiedziałem do czego i póki co jest to sprawa drugorzędna. O wiele istotniejsze jest to co mnie skłoniło do udania się w tym właśnie kierunku. Poszerzając zasięg tematyczny czytanych przeze mnie książek, zacząłem dostrzegać, że w wielu, pozornie różniących się od siebie książkach, artykułach pojawiają się te same „treści”, tylko ubrane w inne słowa, przykryte inną formą... Zresztą odnosiło się to nie tylko do książek. Patrzyłem na przechodzącego ulicą księdza i dostrzegałem drogę jaką musiał przejść, poczynawszy od pierwszego roku w seminarium, przez święcenia, aż do zostania tym kim był, w chwili, gdy go mijałem. Drogę, która gdzieś się zaczynała i dokądś go prowadziła. Szedłem do lekarza i widziałem kilkanaście lat nauki, które doprowadziły do tego, że spotykam się z nim w jego gabinecie. Lata, które również miały go dokądś zaprowadzić... Oglądałem film, a pierwszoplanowy aktor, stawał się człowiekiem, który długo wędrował do tego, by stać się tym, kim miałem go oglądać. Zacząłem się zastanawiać, jaka jest tak naprawdę różnica pomiędzy księdzem, uczącym się przez wiele lat w seminarium, a alpinistą, którego szkołą są góry, a lekcjami poszczególne ściany. A jeśli tak naprawdę nie ma żadnej różnicy, to jaki to wszystko ma sens? Sensem tym, jak wówczas sądziłem były wspomniane treści, pojawiające się w książkach pisanych przez alpinistów, podróżników, księży, buddystów, sportowców, pisarzy, ludzi deklarujących się jako wierzących i niewierzących... A to z kolei doprowadziło mnie do wniosku, że tak naprawdę są to jedynie różne drogi, prowadzące do... czegoś? Czegoś, dla czego mój umysł w owym czasie nie posiadał etykiety.

Niejako na potwierdzenie tych domysłów, z głębin mojej pamięci, wypływać na powierzchnię, zaczęło pewne zdarzenie, które miało miejsce kilka miesięcy wcześniej.

Prowadząc bloga, często zaglądałem na blogi innych osób, poszukując interesujących wpisów. Pewnego dnia szczególnie zainteresował mnie pewien artykuł. Oszczędny w swej formie, niemniej dał mi sporo do myślenia. Po jego lekturze, zaczęło mnie zastanawiać z czego wynika wiara osoby wierzącej w pewną Istotę Wszechmogącą, czy też Boga. Z racji tego, że jako osoba wówczas niewierząca, sam siebie o to zapytać nie mogłem, postanowiłem porozmawiać z kimś, o kim wiedziałem, że jest osobą wierzącą. Tak się akurat składa, że taką osobą jest moja mama. W związku z tym, korzystając z najbliższej wizyty w domu, zdecydowałem się z nią o tym porozmawiać. Odpowiedzi, które wtedy usłyszałem, w dużej mierze pokrywały się z moimi przypuszczeniami i w tym miejscu są one mało istotne.

Zaciekawiła mnie jednak coś co po pewnym czasie, przerodziło się w koncepcję.

Podczas tej rozmowy ja jako osoba niewierząca i moja mama, jako osoba wierząca, dochodziliśmy do zadziwiająco podobnych wniosków. Ja poprzez góry i wspinanie, moja mama przez wiarę w Boga. Ja dzięki wierze w to, że jestem jedynym panem swojego życia, moja mama, w dużej mierze pokładająca nadzieję w Bogu... Pojawiły się wówczas w mojej głowie kolejne pytania. A co jeśli jest coś dalej? Co jeśli wiara w Boga, jest drogą prowadzącą nie do Boga, ale jeszcze dalej? Czy wspinanie, góry również może stanowić tego rodzaju „drogę”? Pytania, które choć, wydawały mi się niezwykle intrygujące, miały długo czekać na odpowiedź.

Tamta rozmowa, a właściwie sam jej przebieg coś mi jeszcze uzmysłowiły. Coś co na późniejszym etapie mojego życia odegrało istotną rolę. Akceptacja. Rozmowa, która wtedy przeprowadziłem, odbyła się w atmosferze całkowitej akceptacji. Dwie pozornie różne koncepcje i dodatkowy czynnik - emocje, które mogłyby wystąpić w relacji matka – dziecko, z uwagi na to, że matka, chce dla dziecka jak najlepiej i w związku z tym może świadomie lub nie, za pomocą emocji wpływać na dziecko. Ale czy taka sytuacja będzie miała miejsce, jeśli zdjęte zostaną etykiety. Jeśli z matki zdejmę etykietę „matki”, kogo otrzymam? Jeśli z ojca zdejmę etykietę „ojca”, kogo otrzymam? Sądzę, że dopiero wówczas jestem w stanie dostrzec człowieka. Tamta rozmowa, uświadomiła mi, że chcąc w drugiej osobie zobaczyć człowieka, muszę zdjąć z niej etykietę i wszystko co jest z nią związane. Matka, brat, ojciec, ksiądz, nauczyciel, wspinacz, kolarz, pracownik... To tylko etykiety, pod którymi kryje się „ktoś”. Ale żeby tego „kogoś” dostrzec, najpierw muszę z niego uczynić „nikogoś”. I to jak sądzą miało wówczas miejsce. Choć, jak przypuszczam, odbyło się to poza świadomością, to tamta rozmowa tak naprawdę nie była rozmową matki z synem, tylko człowieka z człowiekiem...

„Dotknięcie siebie”

W rozdziale „Uczeń i mistrz” wspominałem o pewnym wydarzeniu, które sprawiło, iż w ramach treningu wspinaczkowego skierowałem swoje dłonie, ku bulderingowi. Chcąc względnie łatwo wytłumaczyć, co kryje się pod tym tajemniczym terminem, napiszę że są to krótkie (kilkonośne, czasem jedno, dwu ruchowe) drogi. Choć akurat w odniesieniu do bulderingu nazywa się to przystawką. Czemu? Może odnosi się to do dania głównego i przystawki...

Chociaż na ścianie, na której przyszło mi zdobywać pierwsze wspinaczkowe doświadczenia, był wydzielony kątek do bulderowania, osobiście przez pierwszy, przeszło rok, bałem się tam w ogóle podchodzić. Czasem jedynie zerkając nieśmiało na trenujące tam osoby, które na chwytach będących daleko poza zasięgiem mojego utrzymania, przyjmowały pozycję o jakich mi się nawet nie śniło, tylko po to, by chwili stwierdzić, że to nie dla mnie i raczej pozostanę przy wspinaniu z liną. No cóż... Czasem pokazał, że jednak i mi dane było przekroczyć progi „kuźni mocy”, a w jeszcze dłuższej perspektywie, poznać na „własnej skórze” narzędzie tortur, kryjące się pod pojęciem „Campus”

Póki co, jest jednak początek roku, a ja po kilkudniowym kryzysie, po raz pierwszy siadam na materacach rozłożonych pod ściankami do bulderowania. Chociaż po ostatnich wydarzeniach, udałem się na panel pełen pokory, wszędobyłskie ego, zaraz skierowało mnie ku co ambitniejszemu przystawkom. Szybko się jednak okazało, że jeśli chcę się wspiąć tak jak Ci, na których wcześniej spoglądałem z pełnym

szacunkiem, przede mną długa droga. W związku z czym, ostudziłem nieco zapędy mojego umysłu i przystawki, które robić „chciałem”, zamieniłem na te, które byłem w stanie zrobić, a tych w stosunkowo krótkim czasie zaczęło przybywać. W takich mniej więcej okolicznościach ilość wizyt na ścianie zwiększyła się do czterech tygodniowo, z czego dwie przeznaczałem na wspinanie z liną, a podczas dwóch kolejnych traciłem kolejne warstwy naskórka na ścianach do bulderowania.

Po kilku tygodniach, gdy pojawiać się zaczęły pierwsze efekty, dostrzegłem również, iż buldering będący w zamyśle formą treningu, staje się powoli celem samym w sobie. Nie dokończone przystawki z poprzednich sesji, pokonywane w myślach... Ruchy, które wymagały ode mnie naprawdę wiele wysiłku... Powoli zaczęło się to składać na to, że rozdział mojego życia zatytułowany „Buldering” zaczynał być własnym życiem. Chociaż oczywiście trudność pokonywanych przystawek, w znacznym stopniu wpływała na poziom dróg w które się wstawiałem i odwrotnie... Kolejne wizyty i kolejne, coraz trudniejsze przystawki, przyczyniły się również do tego, że przypominać o sobie zaczęła ambitniejsza część mojej osoby. Z racji tego, że zdecydowaną większość treningów odbywałem w samotności, byłem niejako zmuszony do układania baldów samemu. Chcąc jednak uniknąć skupiania się na chwytach i ruchach, w których się dobrze czuję, często układałem takie przystawki, które na dłużej mnie zatrzymywały. Bardzo często, gdy trudność całego balda sprowadzała się do jednego czy dwóch ruchów, zostawiałem tę część z którą nie miałem problemów, a skupiałem się jedynie danym ruchu. To co mnie wówczas zaciekało to fakt, że daleki byłem od tego, by odpuścić. By powiedzieć „nie dam rady” i ułożyć coś dzięki czemu mogłem podbudować swoje ego. Zdarzało się, że nad niektórymi przystawkami pracowałem przez kilka kolejnych treningów, ale ostatecznie robiłem je w całości. Zdarzały się również sytuacje, gdy to co w myślach zdawało się nie sprawiać większych problemów, w rzeczywistości okazywało się daleko poza moim zasięgiem i chcąc nie chcąc musiałem takiego balda odłożyć na bok. Zanim to jednak zrobiłem wstawiałem się w niego kilkukrotnie, żeby przekonać się, czy faktycznie nie jestem w stanie go zrobić, czy też jest to może zwykłe lenistwo, ubrane w ładne słowa...

Poza tym, że buldering okazywał się wspaniałą lekcją cierpliwości oraz konsekwencji, stał się również czymś co kazało mi spojrzeć zarówno na niego, jak i na samo wspinanie z zupełnie innej perspektywy. Podczas robienia baldów na granicy swoich ówczesnych możliwości, w trakcie wykonywania jakiegoś dalekiego strzału czy trudnego przechwyty, czułem jakby „ktoś”, „coś” wewnątrz mnie przejmowało kontrolę nad moim ciałem i umysłem i „zmuszało” je zrobienia czego tylko potrzeba, by utrzymać ten chwyt. I utrzymywałem. Nie wiem jak, ale mi się udawało. Na chwycie, na którym trzymałem się czubkami palców, poprawiałem ułożenie ręki, bądź nogi na jednym ze stopni i szedłem dalej. Z racji tego, że tego rodzaju sytuacje zdarzały się co pewien czas, zacząłem się coraz częściej zastanawiać czy faktycznie jestem tym, kim wydaje mi się, że jestem Oczywiście w czasie wolnym od wspinania, bo w tym akurat „głowa” często przeszkadzała. A doświadczenia te, nie do końca wiedząc czemu, zacząłem nazywać „Dotknięcie siebie”...

„Szary dzień”

A jak pomiędzy tym wszystkim wyglądało moje codzienne życie? Pozornie bez zmian. Chodziłem do pracy, większość wolnego od pracy czasu spędzałem na panelu,

prowadziłem bloga, rozwijałem stronę. Od czasu do czasu zaglądałem na uczelnię, co w świetle tego, że od dłuższego czasu żyłem ze świadomością, iż poszedłem na studia, tak na dobrą sprawę, dlatego, że inni też szli, podczas gdy obecnie dłużej bym się nad tym zastanowił, wymagało ode mnie coraz więcej samozaparcia. A do tego dochodziła jeszcze perspektywa pisania pracy licencjackiej, co w głównej mierze sprowadzało się do skondensowania treści zawartej w kilku książkach i ubrania jej we własne słowa. Najtrudniejsze zdawały się być sytuacje, gdy wisiało nade mną widmo terminu oddania rozdziału pracy, bądź kolokwium i chcąc względnie temu podołać musiałem rezygnować z jednego czy dwóch treningów. Pocieszałem się jednak myślą, że już wkrótce to się skończy i będę mógł coraz więcej czasu przeznaczać na wspinanie. I to głównie ta myśl oraz świadomość, że im szybciej zamknę ten rozdział, tym prędzej będę mógł opuścić Łódź i udać się tam, gdzie zdecydowałem się udać, przyczyniły się do tego, że ostatecznie udało mi się zakończyć ten etap swojego życia z tytułem „licencjata”.

W międzyczasie, po raz kolejny, miałem możliwość obserwowania, jak ludzie z którymi studiowałem, którzy na przestrzeni ostatnich trzech lat stanowili część mojego życia, z dnia na dzień stają się dla mnie coraz bardziej obcy. Chociaż, to może złe określenie. Myślę, że bliższe prawdy będzie stwierdzenie, iż nasze drogi zaczęły się rozmijać do tego stopnia, że odnosiłem wrażenie, iż żyje w zupełnie innym świecie. I Tak z pewnością było... Była co prawda jeszcze garstka osób, z którymi spotykałem się poza zajęciami, głównie na imprezach, jednak z racji tego, że już od dłuższego czasu, unikałem picia alkoholu i z nimi stopniowo zaczynałem tracić kontakt. O ile często słyszałem, że mnie podziwiają za to, że pozwoliłem odejść staremu Łukaszowi, o tyle w trakcie samej imprezy ciągle byłem namawiany do tego, żeby chociaż jednego, a może piwko... Jednak, gdy następnego dnia z każdej strony słyszałem o rozprzestrzeniającej się epidemii „ból głowy”, ja względnie wypoczęty wskakiwałem na rower, wracałem do domu, brałem buty do wspinania i jechałem się wspiąć. Z różnych imprez, które w porównaniu do poprzednich lat pamiętam nad wyraz dobrze, jedno zdarzenie szczególnie zapadło mi w pamięć.

Było to jedno z ostatnich, nazwijmy to „towarzysko – rozrywkowych” spotkań, w jakim miałem uczestniczyć w gronie znajomych z uczelni. Jeśli o mnie chodzi konsekwentnie trwałem w swoim postanowieniu, dzięki czemu mogłem od dłuższego czasu przyglądać się z boku procesowi, jakiemu ulegałem przez wiele lat. Wprost proporcjonalnie do upływającego czasu, traciłem kontakt z ludźmi w towarzystwie, których się znajdowałem. Co jak sądzę, wiązało się z tym, że stany świadomości, w których się znajdowaliśmy zaczęły się znacząco od siebie różnić. Niemniej w pewnym momencie, w pokoju, w którym wszystko się rozgrywało zostałem ja i kolega, choć może właściwiej będzie napisać, ja i ciało kolegi, ponieważ próby nawiązania z nim jakiegokolwiek kontaktu, kończyły się fiaskiem. W pewnej chwili, wydarzyło się coś o czym do tej pory, do końca nie wiem co mam myśleć. Kolega leżący na łóżku w pozycji embrionalnej, zaczął ze mną rozmawiać, przy czym w najmniejszym stopniu nie był to bełkot pijanej osoby. Był to trzeźwy, wyraźny głos zwracający się do mnie, chociaż będąc w takiej pozycji, jakiej się znajdował nie mógł wiedzieć, że ktokolwiek jest w pokoju, a z pewnością, że tą osobą jestem akurat ja. Powiedział do mnie, że ja wiem. Poznałem tą drogę, którą on aktualnie podąża, aż za dobrze i wiem, że ona donikąd nie prowadzi. Jedyne co mu wówczas mogłem powiedzieć i co jak sądzę,

obecnie bym powtórzył to to, że albo go ta droga zabije, albo uczyni silniejszym... Choć może się to wydawać w pewien sposób okrutne, było to to, co naprawdę czułem, w świetle ostatnich wydarzeń jakie miały miejsce w moim życiu. Po chwili rozmowa dobiegła końca, a w parę chwil później ktoś wszedł do pokoju....

Nie wiem z kim wówczas rozmawiałem, ale wiem, że nie był to człowiek, który następnego dnia obudził się z potwornym bólem głowy. Jedyne co mi przychodzi do głowy to to, że alkohol zadział, jako swego rodzaju hipnoza, a ja rozmawiałem z jego podświadomością. W kontekście własnej wędrówki, przeczytałem zdarzenie, jako swoisty drogowskaz, informujący mnie, że podążam właściwą ścieżką

„Samotność jest wspaniała...”

Od dłuższego czasu, pociągała mnie wizja samotnego życia. Miałem okazję czytać powieści opisujące historię ludzi, podążających przez życie w pojedynkę i przyznam szczerze, wcale mnie to nie przerażało. Perspektywa wędrowania przez życie własną ścieżką, decydowania o tym co robię, dokąd się udaję, zaczynała coraz silniej do mnie przemawiać. Stawałem się również świadom tego, że jeśli chcę w pełni poświęcić się temu, co zdecydowałem się robić, to samotna wędrówka, jest jedynym właściwym wyborem.

Można by powiedzieć:”Więc w czym problem?”. Problem tkwił w tym, że przez pewien czas klóciło się to z utartą w mojej głowie wizją, według której po skończeniu powinienem znaleźć żonę, założyć rodzinę, zbudować (kupić) dom itp. Brzmi znajomo? Ponadto przyjemną wydawała się wizja życia z partnerką, niekoniecznie żoną, u boku...

I tak mijały dni, tygodnie, a na niektórych frontach mojej wewnętrznej wojny, sytuacja ciągle wydawała się napięta. Pewnego dnia, korzystając z tego, że miałem wolną chwilę postanowiłem pomedytować. Rozwinałem karimatę, usiadłem, skrzyżowałem nogi, zamknąłem oczy i... zamiast „ujrzeć ciemność” przed moimi oczami, zaczął przewijać się obraz. Coś na kształt filmu, może snu. Zobaczyłem mężczyznę, ubranego na czarno, idącego nocą wzdłuż ulicy. Chociaż było to coś, co mógłbym nazwać”snem”, byłem w stanie wyczuć „siłę” bijącą od tego mężczyzny. Przy czym nie powiedziałbym ,żeby była to siła fizyczna. Mam na myśli raczej „pewność siebie”, kogoś kto żyje w tym świecie, ale jednocześnie poza nim. Kogoś kto sam jest w stanie oddziaływać na innych, ale jednocześnie, nie pozwala by inni wpływali na niego. W pewnym momencie podszedł on od tyłu do młodej kobiety, chwycił ją i powiedział jej do ucha słowa, które nawet dziś, gdy to piszę, czuję że były skierowane do mnie:”Samotność jest wspaniała. Chcesz spróbować?”

Po tych słowach obraz się rozplątał, a ja wstałem i wiedziałem, że otrzymałem odpowiedź, której długo poszukiwałem. Chociaż wtedy nie rozumiałem jeszcze samotności. tak jak rozumiem ją dziś, gdy próbuję ubrać w słowa coś co powinno pozostać czystym doświadczeniem, wiedziałem, że to właśnie tą drogą chcę podążać.

Kilka dni później, podczas chwili refleksji, spojrzałem z boku na swoje życie i uświadomiłem sobie. Przecież ja już od dawna nią podążam...

„Spotkanie po latach”

Na krótko przed z dawna wyczekiwany wyjazdem w skały, po raz kolejny przecięły się życiowe drogi – moja i Stephen Kinga. W jaki sposób doszło do owego

„spotkania”? Za pomocą jednej z jego książek, a właściwie to cyklu siedmiu książek, pisanych na przestrzeni około trzydziestu lat i wydanych pod tytułem „Mroczna Wieża”. Cykl opisujący historię ostatniego rewolwerowca wędrującego przez świat, w którym czas stracił jakiegokolwiek znaczenie, w poszukiwaniu Mrocznej Wieży. Książka na swój sposób przerażająca zwłaszcza, jeśli skupiać się tylko na formie. Nawet sam King w posłowniu do pierwszej części pisze o tym, stworzony przez niego bohater, przeraził go do tego stopnia, że na blisko dwadzieścia lat rękopis wylądował w nastrachu. Mi jednak postać rewolwerowca na swój sposób stała się bardzo bliska, a z czasem odniosłem wrażenie, że świat przez, który przyszło mu wędrować wcale nie jest tak bardzo odległy od tego, w którym my żyjemy.

Przez długi czas zastanawiałem się z czego wynika, poczucie bliskości z głównym bohaterem. Stopniowo zacząłem dochodzić do przekonania, iż wiąże się to z pewną cechą charakteru, którą u niego dostrzegłem i którą coraz wyraźniej u siebie dostrzegałem. „Egoizm”. Z tym, że nie objawiający się oznajmianiem wszem i wobec, iż to jest moje, tamto jest moje, wszystko jest moje... Mam tu na myśli „egoizm” objawiający się wędrowaniem przez życie własną ścieżką, często za cenę opuszczenia rodziny, tych, których kochamy, samotności, własnej duszy... Wysoka cena? Dużo wyższą mogłoby przyjść zapłacić, wyrzekając się siebie...

Obecnie sam często patrzę w lustro i myślę sobie: „Przebyłeś długą drogę wędrowcze. Zostawiłeś za sobą ludzi, którzy Cię kochali, zostawiłeś tych, których nazywałeś swoimi bliskimi, kobietę, która Cię kochała... Ocierałeś się o krainę obłędu. Byłeś na skraju przepaści. I w imię czego to wszystko...? W imię realizacji własnych marzeń? W imię, bycia panem własnego życia? W imię wolności? Tak, ale nie tylko...”. To wszystko, jak sądzę ma bowiem ukryty sens. Sens na odkrycie, którego czasem trzeba czekać wiele lat. Sens, który jak sądzę, kryje się również w pewnej zasłyszanej przeze mnie mądrości: „Odkrywaj siebie, rozwijaj siebie, dawaj siebie”.

„Tatrzańska Piątka”

Wreszcie nadszedł czas, gdy miałem po raz pierwszy wspinać się w skałach. Związane to było w kursem wspinaczkowym, który rozpocząłem na początku roku. Poza tym, że przez sześć kolejnych dni, miałem poznawać „subtelne” różnice pomiędzy wspinaniem na panelu, a wspinaczką w skałach, równie istotne było dla mnie, to że chociaż na te kilka dni mogłem za sobą zostawić pracę, zgiełk i... w pewnym sensie samego siebie.

O ile pierwsze dni, w dużej mierze pokrywały się z moimi wyobrażeniami, o tyle pewne znaczące dla mnie wydarzenie, przyniósł czwarty dzień. Było to drugi dzień wspinaczki w Mirowie, miejscowości sąsiadującej z tą, w której spaliśmy. Uskrzydłony wcześniejszymi sukcesami w prowadzeniu na własnej asekuracji dróg o trudnościach IV+/V, postanowiłem spróbować swoich sił na drodze V+. Niby tylko pół stopnia różnicy, a okazało się aż... Wybór padł na „Tatrzańską Piątkę”, której przebieg w dużej mierze pokrywał się z rysą, biegnącą w północno-zachodniej części czoła skały.

Początek drogi nie zapowiadał dramatu, jaki miał się wkrótce wydarzyć... w mojej głowie. Pomijając fakt, że przy przechodzeniu kolejnych fragmentów rys musiałem się nieco nagimnastykować, asekuracja była dobra i w myślach już widziałem się na końcu drogi. Mój przedwczesny entuzjazm został jednak zgaszony, przez ostatni fragment rysy. Lekko przewieszony, z wklejonym ringiem, w górnej

części wybrzuszenia na lewo od rysy. Pozostawała tylko kwestia wpięcia się do owego ringa. A to jak się okazało, wcale nie miało być takie łatwe. Doszedłem do wspomnianej rysy, założyłem przelot i zacząłem iść dalej. Nagle jednak ogarnął mnie strach. Wyobraziłem sobie, jak odpadam, a wraz ze mną przelot, którego nie nazwałbym „pancernym”. Wycofałem się, w rysie dołożyłem drugi przelot i podjąłem drugą próbę. Ziarno strachu zostało już jednak zasiane, w związku z czym znów się wycofałem i próbowałem zebrać myśli. Przykucnąłem na półce, nade mną wisiał instruktor, który zaproponował, że wepnie w ringa ekspres, tak żebym po dojściu mógł jedynie wpiąć linę. Przystałem na to, ale dodałem, że jeśli będę miał siłę na wpięcie własnego ekspresu to tak zrobię. Ciągle jednak tkwiłem na półce i pozostawała jeszcze kwestia, doprowadzenia myśli do porządku. Umysł pracował na najwyższych obrotach tworząc coraz to czarniejszy scenariusz, a ja miałem wrażenie przeżywania po raz wtóry, Deja vu. Wróciły do mnie myśli, które towarzyszyły mi podczas prowadzenia drogi opisanej w rozdziale „La vita e bella”. „...Odpadniesz, przeloty powypadają i w najlepszym wypadku wyjdiesz z tego z połamanymi nogami...”, tak mniej więcej wyglądało wsparcie ze strony mojego umysłu, który jak przez wiele lat wierzyłem, powinien być moim najlepszym przyjacielem. Nasza „przyjaźń” była jednak, coraz częściej, wystawiana na coraz to cięższe próby i nic nie zapowiadało, by miała ona przetrwać próbę czasu. Wbrew wszelkim argumentom wysuwanych przez umysł, które po raz kolejny wydawały się jak najbardziej logiczne, wiedziałem, że cała trudność tego miejsca leży w mojej głowie. Na tym etapie mojej przygody ze wspinaniem, byłem już w stanie odróżnić sytuację, gdy nie jestem w stanie zrobić ruchu czy drogi, bo jestem jeszcze za słaby, od sytuacji takich jak ta, gdy problem siedzi w głowie.

Pojawiło się również, znane skądinąd uczucie, że to kim w przyszłości będę uzależnione jest od tego czy przejdę tą drogę. Wielokrotnie już pojawiała się w mojej głowie taka myśl i chociaż nie widzę szans by sprawdzić jej zasadność, to do tej pory mi pomagała, więc coś w tym może jest... Pozostawało jeszcze coś co nazwałbym „syndromem powrotu”. Wiedziałem, że jeśli teraz się poddam i zjadę, ta droga stanie się czymś w rodzaju mojego cienia. Będzie mnie dręczyć za dnia, w nocy śnić, tak długo, aż ją w końcu ją poprowadzę.

Efekt tego był taki, jaki być powinien. Zebrałem się w sobie, krzyknąłem do partnera, żeby był czujny i ruszyłem „...na spotkanie z przeznaczeniem”. Doszedłem do ringa, wpiąłem swój ekspres, linę, wydostałem się półkę i odetchnąłem. Pozostawało jeszcze wyjście na szczyt, ale to już była „formalność”. Po dojściu górę, założyłem stanowisko i czekałem na partnera. Siedziałem, asekurowałem i mimo iż bardzo się starałem, to nie byłem w stanie opanować śmiechu, gdy słyszałem go klnącego na co tylko się dało. Czuję również, że rozplynęła się kolejna z wymagowanych granic, stworzonych przez mój umysł, a przede mną odsłonił się kolejny fragment układanki...

Pozostałe dni kursu upłynęły względnie spokojnie. Rano szliśmy pod skałę, wracaliśmy wieczorem, niemniej ilość dróg, które w owym czasie robiliśmy, jedynie podsycala mój głód wspinania. Po programowych drogach na własnej asekuracji z reguły szliśmy z instruktorem na drogi sportowe i to właśnie wtedy czułem, że jestem tam, gdzie faktycznie chcę być. Nie będąc zmuszonym do martwienia się zakładaniem własnych przelotów, mogłem koncentrować się na tym, na czym faktycznie chciałem się koncentrować. Na samym wspinaniu. Szczególnie zapadła w pamięć jedna z pierwszych dróg. Bodajże VI+, w owym czasie będąca na granicy moich możliwości.

Przy pierwszej próbie, zaliczyłem lot po trzeciej wpince, zjechałem, ale wewnątrz usłyszałem już dobrze znany głos, niejako zmuszający mnie do poprowadzenia tej drogi. Wiedziałem, że jeśli tego nie zrobię, nie da mi on spokoju. Będzie mi towarzyszył przez resztę kursu, wróci ze mną do Łodzi, będzie ze mną jeździł do pracy. W związku z tym chwilę odpocząłem, pozbierałem myśli i po raz drugi przywiązałem się do końca liny. Udało mi się ją poprowadzić, a stojąc przy stanowisku i przygotowując się do zjazdu, wzrok ciągle kierowałem rozciągającemu się przede mną horyzontowi. Byłem wówczas tak szczęśliwy, że gdyby nie to, że musiałem się przewiązać to zapewne pozwoliłbym sobie na płacz. To co wówczas odczuwałem nie wynikało jednak, z faktu poprowadzenia tej drogi. Było to spowodowane tym, że mogłem tam, po prostu być. Tym, że właśnie spełniało się moje kolejne marzenie. Spełniało się, czy też ja je spełniałem? W tamtym momencie nie miało to najmniejszego znaczenia.

Sześć dni kursu, minęło jednak błyskawicznie i wkrótce po przyjeździe znów musiałem wracać. Do Łodzi, do pracy, do sztucznej ścianki... Przyznam szczerze, że po powrocie przez krótki, co prawda, ale zawsze, okres ciężko mi było wykrzesać z siebie motywację do tego, żeby trenować na panelu. Ziarno zostało zasiane i niesamowicie szybko zaczęło kiełkować... Na szczęście coraz bliżej był okres zmian w moim życiu, które w przyszłości miały dać mi możliwość o wiele częstszych wyjazdów w skały. W jeszcze dłuższej perspektywie, może w góry... Dwa tygodnie później, korzystając z tego, że pojechałem do Krakowa, w poszukiwaniu mieszkania, postanowiłem odwiedzić dolinę Będkowską. Spędziłem tam cały dzień, jednak z racji tego, że nie miałem się z kim wspinać, postanowiłem poczuć to, co, jak sądzę, swego czasu mógł odczuwać Dan Ossman. Przeżywcowałem kilka IV i V dróg, tylko po to, żeby ostatecznie stwierdzić, że jednak ten rodzaj wspinania zostawię innym. Poziom koncentracji na każdym kolejnym przechwycie i poziom bycia „tu i teraz”, były tak wysokie, że w dłuższej perspektywie mogłyby się okazać... uzależniające. Poza tym, coraz częściej dostrzegałem to, że życie jest naprawdę piękne i nie zamierzałem się z nim w tak lekkomyślny sposób rozstawać.

Tamten wyjazd poza tym, że dał mi możliwość przeżycia nowych doświadczeń, był również jak wówczas sądziłem, a co czas potwierdził, wstępem do nowego rozdziału z moim życiem. Rozdziału, który już wkrótce miał się rozpocząć...

„Osądzasz, znaczy nie rozumiesz”

Przez długi czas osądzałem. Wszystko i wszystkich... Otaczających mnie ludzi, wydarzenia, które działy się wokół mnie. Bardzo często wiązało się to z tym, że ktoś zachowywał się inaczej niż tego, od niego oczekiwałem, co nabrało szczególnego wydźwięku, w relacjach panujących pomiędzy mną, a moim ojcem. Patrzyłem na niego i widziałem człowieka, który spędza całe dnie w pracy, sądząc, że zapomina o tym co powinno być w jego życiu najważniejsze. O rodzinie, którą gdzieś, kiedyś zdecydował się założyć, o dzieciach, które zdecydował się mieć... O ile będąc kilka wiosen młodszy, tak bardzo tego nie odczuwałem, o tyle na przestrzeni ostatnich dwóch, trzech lat, gdy większość czasu spędzałem na poszukiwaniu, kogoś kto wskaże mi jakąś drogę, patrzyłem na mojego ojca i dochodziłem do przekonania, że ja chcę w życiu podążać inną drogą. Ale czy to ma oznaczać, że zmienić ma się mój ojciec, by stał się dla mnie przykładem? Był okres w moim życiu, gdy sądziłem, że tak. I oto w głównej mierze miałem do niego żal. Oto, że nie jest taki jak od niego oczekiwałem. Oto wielokrotnie

się sprzeczałyśmy. To również leżało u podstaw tego, że coraz lepiej, jak mi się zdawało, zaczynałem rozumieć słowa Tylera Durdena: „...Jesteśmy pokoleniem mężczyzn, wychowanym przez kobiety...”.

W pewnym momencie coś jednak zaczęło pękać. Może doświadczenia z „pustyni”, może medytacje, na które od kilku miesięcy przeznaczałem część swojego czasu. Może jedno i drugie. A może coś jeszcze innego. Coś w każdym razie przyczyniło się do tego, że zacząłem postrzegać drogę, którą podąża mój ojciec w zupełnie innym świetle. Zacząłem dostrzegać, że to wszystko co robił, robił właśnie, z myślą o rodzinie. Bądź, co bądź to w głównej mierze dzięki mojemu ojcu zawdzięczam to, że znalazłem się na tym świecie w takiej, a nie innej formie. To dzięki temu, że pracował od rana wieczora miałem co jeść, mogę się rozwijać, wędrować, a dziś piszę książkę, którą być może on, lub ktoś kogo w mniej lub bardziej przychylny sposób osądzałem przeczyta. Co prawda odbyło się to kosztem, tego, że w dużej mierze wychowywany byłem przez mamę, następnie zdany na własne siły, wędrując od nauczyciela do nauczyciela, ale może tak właśnie miało być...

Co najciekawsze tak naprawdę, do końca nie wiem, który z tych osądów jest bliższy prawdy... Z czasem zaczęło się bowiem okazywać, że wszelkie osady, jakie mogłem wydawać, są tak naprawdę jedynie przypuszczeniami mojego ego. Scenariuszami, z których każdy jest możliwy, a ich ilość zależy tylko i wyłącznie od mojej wyobraźni. Zacząłem sobie uświadamiać, że wydarzenie, które osądzam może być konsekwencją, dawno temu podjętych, przez kogoś, decyzji. Jak również samo może w przyszłości wywołać konsekwencję, których w tej chwili, ani ja, ani ktokolwiek nie jest w stanie przewidzieć, a które choć w danym momencie mogą wydawać się „złe”, za pięć lat mogą być „dobre” Zacząłem zadawać sobie pytanie, oto jaki w takiej sytuacji jest sens osądzania, kiedy tak naprawdę wykracza to poza zasięg moich możliwości?

I to właśnie odpowiedź na to pytanie, jak sądzę, otworzyła, uchylone do tej pory drzwi dla akceptacji. Ludzi i wydarzeń takimi, jakie są, bez przyklejania etykiet, które w gruncie rzeczy są jedynie iluzją... Akceptacja, która będąc celem samym w sobie, stała się zarazem drzwiami prowadzącymi dalej. Która będąc końcem, stała się jednocześnie początkiem... Która sprawiła, iż odsłonił się przede mną kolejny element...

„Wreszcie „wolny””

W końcu, po wielu miesiącach wędrowania, oczekiwania dotarłem do rozwidlenia dróg. Dokąd każda z nich prowadziła? Tak naprawdę nie wiem i tak naprawdę nigdy się nie dowiem. Póki co na jednej z nich widziałem siebie żyjącego w dużej mierze, tym czym większość ludzi. Praca, dom, rodzina... Z kolei na drugiej widziałem tabliczkę, z napisem „Wolność”... Od wielu miesięcy nosiłem się z zamiarem przeprowadzki do Krakowa. Czemu? Najprostszym wyjaśnieniem byłoby, iż na przestrzeni ostatnich dwóch lat, wspinanie stało się na tyle znaczącym elementem mojego życia, że postanowiłem go rozwijać, a Kraków, póki co wydawał mi się najlepszym ku temu miejscem. W międzyczasie pojawiło się jednak całe mnóstwo innych powodów, tworzonych w zależności od tego, jakie akurat miałem okulary na nosie... W części z nich może tkwiło ziarno prawdy, część zapewne była jedynie tworem mojego umysłu. Jako ostateczną odpowiedź na pytanie czemu, posłużę się w

tym miejscu ciągiem symboli stworzonych przez umysł i ułożonym przez pewnego amerykańskiego poetę w coś, co nazwać można wierszem:

„Dwie drogi rozchodziły się w żółtym.
Żał, że nie mogłem przebyć obu
- Samotny wędrowiec, którego w świat niesie
Wpatrywałem się w pierwszą, stojąc u jej progu
Jak skręca w oddali i poszyciu znika.

Wybrałem tę drugą, gdyż chęć nieodparta,
Słuszność decyzji motywowała,
Jakby chciała być przeze mnie przetarta,
Choć od pierwszej się nie odróżniała,
A obie były wytyczone.

Tamtego ranka wyglądały na podobne.
Nie było śladów żadnego człowieka.
Na pierwszą powrócę – rzuciłem na odchodne.
Wiedząc, jak droga potrafi być daleka.
Wątpiłem jednak, czy powinienem powrócić.

Nieraz mnie to wspomnienie poniesie,
Gdy będę rozważał drogę obraną.
Dwie drogi rozchodziły się w lesie,
A ja? Ja obrałem tę mniej uczęszczaną.
I to właśnie wszystko odmieniło.”

Autorem przytoczonego wiersza, był Robert Frost. A sam wiersz, ilekroć do niego wracam, wydaje mi się niezwykle życiowy... Zanim jednak ostatecznie doszło do tego, że zdecydowałem się podążać taką, a nie inną drogą były wątpliwości, smutek, lzy... Wyjazd oznaczał zostawienie za sobą wszystkiego co dotychczas znałem. Rodziny, garstki znajomych, życia, którym żyłem. Tego co jak sądzę, gdybym został, stałoby się treścią mojego życia. Pytanie tylko czy faktycznie byłoby to życie, którym chciałbym żyć?

A co widziałem z drugiej strony. Jedynie tabliczkę z „chwytnym hasłem” plus marzenia i wyobrażenia odnośnie tego, co pod owym hasłem się kryje. Z jednej strony widziałem w dużej mierze zaplanowany scenariusz mojego życia. Z drugiej tak naprawdę niepewność, tego dokąd mnie ta droga zaprowadzi. Co ciekawe, to właśnie ten brak jakichkolwiek pewników, świadomość, że tak na dobrą sprawę, na każdym kroku, może zdarzyć się coś co odmieni moje życie, zmuszająca mnie do bycia maksymalnie uważnym wydawały mi się bliższe prawdziwemu życiu...

Na przestrzeni poprzedzających mój wyjazd miesiący, słyszałem co prawda, całe mnóstwo powodów, dla których powinienem zostać. Począwszy od tego, że mogę nie znaleźć pracy, a skończywszy na tym, że mogę się zabić podczas wspinania. Gdy się jednak nad tym dłużej zastanawiałem, dochodziłem do wniosku, że tak naprawdę, każdy z tych powodów, może mieć odniesienie, w każdym gdzieś, kiedyś. Wszędzie

mogę mieć kłopoty ze znalezieniem pracy, w każdej chwili mogę zginąć... Doszedłem do wniosku, że jeśli faktycznie tak ma być, to tak będzie, a ja przynajmniej umrę ze świadomością, że podałem ścieżkę, którą chciałem podążać. Bo tak naprawdę do tego, się to sprowadzało. Po prostu tego chciałem. W międzyczasie zrodziło się wiele marzeń, które postanowiłem realizować, a kolejnym ku temu krokiem, miała być właśnie przeprowadzka. Spokoju nie dawała mi również myśl, że zostając wyrzeknę się tego, kim naprawdę jestem...

Ostatecznie nadszedł dzień, gdy niczym ślimak, z całym dobytkiem na plecach, po raz kolejny opuszczałem rodzinny dom. Po raz kolejny zostawiając za sobą smutek i łzy... A cóż zastałem po przejechaniu kilkuset kilometrów? Odpowiedź na to pytanie, pozostawię tym, którzy kiedyś zdecydują się wyruszyć własną drogą... Po przeprowadzce w pierwszej kolejności skierowałem swoje kroki, ku miejscom, o których od tej pory tylko czytałem. Ściany kamieniołomu na Zakrzówku, podkrakowskim dolinom, które otwierały przede mną wiele nowych możliwości. Do wszystkiego potrzebny był jednak czas... i pieniądze. Mój umysł, po raz kolejny dawał znać, że najchętniej byłby we wszystkich miejscach jednocześnie, a ja, przyglądając się tłumom turystów spacerujących po rynku, próbowałem oswoić się ze świadomością, że przyjechałem tu na okres nieco dłuższy niż, powszechnie rozumiane wakacje...

„Poza ciało”

Wyjazd do Krakowa, poza tym, że otworzył przede mną wiele możliwości rozwijania się jako wspinacz, dał mi również możliwość bycia bliżej gór, z czego również w niedługim czasie po przeprowadzce, postanowiłem skorzystać. Bez pracy, ze świadomością, że środki którymi dysponuje prędzej czy później się skończą i z dręczącą mnie myślą, że nie powinienem tak lekkomyślnie wydawać pieniędzy, gdzieś, kiedyś po raz kolejny spakowałem plecak i ruszyłem w góry. Postawiłem przed sobą ambitny cel, dojścia z Kuźnic przez doliny: Jaworzynki, Gąsienicową, Pięć Stawów i Rybiego Potoku pod Rysy, a kolejnego dnia wejście na najwyższy szczyt Polski i powrót przez Waksmundzką Równię do Kuźnic.

Do Koziej Przełęczy wszystko zdawało się być w jak najlepszym porządku. Wspaniała pogoda, względnie mało ludzi, Ja i góry. Przy schodzeniu z przełęczy do Doliny Pięciu Stawów odzywać się jednak zaczęło kolano, a do tego dochodzić zaczynały głód i zmęczenie. Po zejściu do „Piątki”, rozsiadłem się w kosówce i postanowiłem, że przez kolejną godzinę nie robię, ani jednego kroku. Przede mną było jeszcze podejście na Szpiglasową Przełęcz, stamtąd dojście w rejon Czarnego Stawu, a do wieczora kilka godzin, w związku z czym uznałem, że mogę sobie na takie lenistwo pozwolić. Wkrótce jednak czas przeznaczony na odpoczynek dobiegł końca i przyszła pora założyć na ramiona plecak i rozpocząć podejście. Pomimo przeszło godzinnego odpoczynku, zmęczenie szybko zaczęło dawać o sobie znać, a podczas schodzenia nad Morskie Oko, kolano coraz głośniej krzychało. Mimo wszystko szedłem dalej. Wiedziałem, że czeka mnie noc pod gołym niebem, w związku z czym, zależało mi na tym by dojść możliwie jak najwyżej ponad Morskie Oko. Coraz bardziej zmęczony, czujący się tak, jakby moje kolano miało za chwilę eksplodować, szedłem. Liczyło się tylko dojście tam dokąd zamierzałem dojść. Z każdym kolejnym krokiem, na tym coraz bardziej się koncentrowałem, jednocześnie w myślach oddalając się od zmęczenia, od kolana... W pewnej chwili pojawił się stan, w którym przestawałem iść „Ja”, a

zaczynało ciało, w którym się znajdowałem. „Ja” przestałem odczuwać zmęczenie, odczuwało je ciało. Również ciało, odczuwało ból kolana. Ciało zaczynało odczuwać głód. „Ja” po prostu byłem, obserwowałem ciało, które szło. Wreszcie doszedłem do miejsca, które sam nazwałem „hotelem pod Kazalnicą”, w którym miałem spędzić nadchodzącą noc... Kolejnego dnia zbudziłem się o 2 nad ranem i uznałem, że z dalszego snu nic nie wyniknie, w związku z czym, w świetle czołówki, rozpocząłem kilkugodzinne podejście, z nadzieją na obejrzenie wschodu słońca z najwyższego szczytu Polski. O ile zrodzone kilka godzin wcześniej marzenie udało mi się zrealizować, o tyle podczas schodzenia, przyszło mi zapłacić cenę za sforsowanie dzień wcześniej kolana. Wykończony, z kolanem wielkości uda po blisko siedmiu godzinach schodzenia ze szczytu, rozsiadłem się przed schroniskiem nad Morskim Okiem. Jadłem, rozmyślałem, przygotowywałem się do zejścia na parking. Pomimo okropnego bólu w nodze, byłem szczęśliwy...

Pozornie wydawać by się mogło, że odnalazłem to czego szukałem. Wolność, podążania własnymi ścieżkami, robienia tego co chcę robić... W głębi duszy czułem jednak, że tak naprawdę zmieniłem jedną formę na inną, a to czego w rzeczywistości poszukuję, choć zdaje się być coraz bliżej, nieustannie mi się wymyka. Po powrocie do Krakowa, zająłem się wspinaniem, szukaniem pracy, czytaniem... Poszukiwaniem odpowiedzi...

„Pewnego dnia dwóch mnichów stało pod drzewem i kłóciło się między sobą o to co się faktycznie porusza. Drzewo czy wiatr? W pewnym momencie podszedł do nich trzeci mnich i powiedział: Tak naprawdę porusza się umysł.”

Stopniowo zaczynałem docierać do miejsca, w którym słowa okazywały się ulotne niczym dym, a jednocześnie te, które płynęły z moich ust zdawały się posiadać moc tworzenia. Coraz częściej chodziłem w milczeniu ulicami, doświadczając wszystkiego co mnie otacza. Wzrokiem, słuchem, węchem, całym sobą... A czym wówczas były słowa? Formą wycinającą z kawałka ciasta określony kształt, pozostawiającą niewykorzystany kawałek, wycinkiem koła... Opisując to czego w danej chwili doświadczałem, tak na dobrą sprawę sam się ograniczałem. Ograniczałem się do tego co byłem w stanie ubrać w słowa. Ograniczałem się do tego co rozumiałem pod danym słowem. Opisując część doświadczenia tak naprawdę zabijałem resztę... Opisując zachód słońca jako piękny, dostrzegałem tylko jego piękno. Zabierając sobie możliwość dostrzeżenia jego wspaniałości, boskości...

Z drugiej strony słowa zaczęły mi się jawić jako „budulec” świata, w którym żyję. Używając słów, osądzając, tak na dobrą tworzyłem ramy, w które następnie wrzucałem ludzi, doświadczenia. Mówiąc o kimś, że jest „mądry”, tak naprawdę tworzyłem własne ramy mądrości, a każdy kolejny człowiek, albo się w tych ramach mieścił albo nie. Ale jednocześnie tworząc „mądrość”, wszystko inne stawało się głupotą. Mówiąc, że ktoś jest ładny, ktoś inny stawał się brzydki. Osądzając kogoś, ta naprawdę osądzałem siebie. Twierdząc, że ktoś „pieprzy głupoty”, tak naprawdę to mój umysł „pieprzył głupoty”, ponieważ to w moim umyśle istniała etykieta dla danego zachowania...

Był to okres, kiedy moi znajomi, rodzina twierdziła, że coraz bardziej zamykam się w sobie, podczas gdy paradoksalnie ja, jak sędzę, coraz bardziej się otwierałem.

Kolejne łańcuchy zaczynały pękać... Powiew życia rozdmuchiwał mgłę przysłaniającą jedno z ostatnich elementów układanki... Zbliżałem się do końca, będącego jednocześnie początkiem. Ponieważ tak długo jak istnieje koniec, musi istnieć początek... Tak długo jak istnieje granica, będzie istniało coś co jest za nią... Tak długo jak będzie istniało życie, dopóty istnieć będzie śmierć... Dobro ze złem, radość ze smutkiem, ekstaza z cierpieniem...

„Stan duszy”

Czym jest samotność? Czy samotność to życie w pojedynkę, samotne podążanie obroną przez siebie drogą? Czy samotność to życie z dala od ludzi? Przez pewien okres sądziłem, że tak. Żyłem sam, w dużej mierze decydowałem o tym co robię, dokąd się udaję, jak spędzam czas. Czułem się wspaniale, wędrując samotnie po górach czy „żywcując” czwórkową bądź piątkową drogę w ścianie, włączając się nocami po mieście, po miejscach, w które rzadko, jeśli w ogóle ktoś odwiedzał. Z czasem jednak zrodziło się w mojej głowie pytanie. A co z tymi chwilami, które pozornie spędzam wśród ludzi? Co z czasem, który spędzam w tramwaju, otoczony tłumem ludzi? Co z czasem spędzonym na uczelni? Co z czasem spędzonym, wśród tych których nazywam swoimi bliskimi? Czy nagle przestaję być samotny? Czy jadąc w góry, naprawdę zostawiam za sobą innych ludzi, cywilizację? Czy może po prostu przestaje na pewien czas to dostrzegać?

Odpowiadałem na te pytania w miarę jak pojawiały się w mojej głowie, a każda kolejna odpowiedź rozdmuchiwała mgłę, która mnie otaczała. Czy jest tak naprawdę różnica pomiędzy samotną wędrowką w górach, a wędrowką zatłoczonym chodnikiem? Czy jest tak naprawdę różnica, pomiędzy tym czy jestem oddalony od ludzi 50 cm, czy 500 km? Czy więc samotność jest pewną zewnętrzną formą, czy też jest to stan duszy?

„Po tym, jak smok wzniósł się na szczyt, czeka go jedynie żałość schodzenia”

Zarówno z młodzieńczych, jak i również nieco późniejszych lat pamiętam, że przed różnymi, nazwijmy to okazjami, jak np.. urodziny, imieniny, Boże Narodzenie itp., z niecierpliwością wyczekiwałem ich, czasem już kilka tygodni wcześniej. Odliczałem tygodnie, dni, godziny..., by nagle stwierdzić, że gdy dzień ten już nadejdzie, potrwa on kilka godzin i przeminie.

W takim przeświadczeniu upływały kolejne lata mojego życia i z podobnym nastawieniem rozpocząłem swoją przygodę z górami. Będąc w Tatrach czułem się wspaniale. Czułem, że jestem tu gdzie chcę być, ale przez pewien czas dostrzegałem jedynie szczyty. W drodze na wierzchołek, myślałem o tym co będzie, gdy już tam dotrę, a kiedy wreszcie docierałem, pojawiała się przede mną „ponura” wizja schodzenia.

Trwało to do pewnego gdzieś, kiedyś. Podczas wędrowki przez jedną z tatrzańskich dolin, w drodze na jeden z tatrzańskich szczytów, zaczęły się w mojej głowie rodzić pytania. Czy celem jest szczyt? Czy każdy kolejny krok, jest mniej istotny od tego, który ostatecznie wyprowadzi mnie na szczyt? Czy mniej istotnym celem, jest postawienie kolejnego kroku? Czy schodzenie ze szczytu, jest tak naprawdę schodzeniem, czy może jest już wchodzeniem na kolejny? Cały czas wędrując, w myślach odpowiadałem na stawiane przez „siebie” pytania i z każdą kolejną odpowiedzią, czułem, że zrzucam z ramion kolejne „kamienie”, które nosiłem ze sobą

przez wiele lat. W pewnym momencie stanąłem i po prostu się rozplakałem. Wszystko przestało mieć znaczenie. Przestało być istotne to czy wejść na szczyt, to czy zrobię kolejny krok. Istotna była tylko i wyłącznie ta chwila. Tylko i wyłącznie, tu i teraz... Po chwili ruszyłem dalej. Pozornie ten sam człowiek, ale tylko pozornie.

...Mgła się rozwiała i ujrzałem przed sobą kolejny element układanki.

„O wspinaniu po raz kolejny...”

Coraz więcej się wspinając, moja droga życiowa coraz częściej przecina się ze ścieżkami innych osób, które w podobny sposób wyrażają to kim są. Jeżeli chodzi o ich motywy wspinania, to mogę jedynie przypuszczać, gdybać, a to nie ma najmniejszego sensu. O wiele ważniejsze jest dla mnie to, dlaczego ja sam się wspinam. Często próbuje sobie na to pytanie odpowiedzieć i różne odpowiedzi mi do głowy przychodzą. Która spośród nich jest najbliższa prawdy? Chyba taka, że po prostu chcę to robić. Przez długi czas zastanawiałem się czy robię to, bo inni to robią? Czy wspinam się, bo dziewczyny na to lecą? Czy wspinam się, bo to takie fajne...? To co na przestrzeni ostatnich dwóch - trzech lat, stało się dla mnie naprawdę istotne, to to czy robię coś dlatego, że tego chcę, czy dla kogoś z wyżej wymienionych powodów. Dlaczego piszę tę książkę? Dlatego, że chcę czy dlatego, że inni też piszą? By czuć się lepszym od innych? Bo wpadłem na pomysł, że napisze taki „pseudo inteligencki” bełkot, a potem spróbuję go sprzedać? W tym miejscu pojawia się jednak pytanie. Skąd wiem, że tego chcę? Odpowiedzią mogłyby być „wzarta” w naskórek magnezja, poździerana skóra na palcach, obolałe ciało po intensywnym treningu, odciski od butów wspinaczkowych, setki, a może już tysiące godzin spędzonych na sztucznej ścianie, w skałach... Ale oprócz tego, a może jako swoiste uzupełnienie wszystkich wymienionych wyżej czynników, mógłbym wymienić wewnętrzny spokój, jaki mi towarzyszy podczas wspinania czy teraz w trakcie prac nad tą książką. Uczucie, że jestem tu gdzie chcę być, że robię to chcę robić, że dzięki temu staje się tym kim naprawdę chcę się stawać. Nie wspinaczem, nie pisarzem, ale sobą. Tym kim mam być...

Wspominam tylko o wspinaniu i pisaniu, ale w rzeczywistości te słowa odnoszą się do każdej drogi jaką mi przyszło podążać. Do jazdy na rowerze, do biegania, do pływania. Do każdej formy jaką przybierałem... Nawet wspominając okres, gdy powoli, acz konsekwentnie podążałem na dno, sądzę że tak naprawdę tego chciałem. W głębi duszy chciałem to przeżyć. Spaść na dno, po to by następnie poczuć jak się od niego odbijam. Sądzę, że chciałem poznać bezsens życia, by w przyszłości móc odkrywać jego sens. Wędrować przez „pustynię”, która mnie wypaliła, dzięki czemu znów mogłem tworzyć... Wszystko to przyczyniło się do tego, że dziś siedzę, zawieszony w pewnym gdzieś, kiedyś i piszę słowa, które być może okażą się mieć moc tworzenia, a może przeminą niczym obłok na niebie... A dokąd mnie to ostatecznie zaprowadzi? Ile razy przyjdzie mi jeszcze umrzeć, wędrować przez pustynię, zmieniać formę...?

Czasem się zastanawiam, jak długo to jeszcze potrwa. Jak długo będę się wspiął? Mój umysł już krzyczy, że do końca życia, ale sądzę, że gdybym do tej pory go słuchał, to nie siedziałbym teraz przed komputerem i nie pisał tych słów. Może faktycznie będzie tak, że wspinanie będzie mi towarzyszyć do samego końca, ale może się również okazać, że wkrótce dotrę do rozwidlenia, przy którym zdecyduję, że na dalszym etapie, zechcę przybrać inną formę... Ponieważ jednoznaczna odpowiedź na to pytanie pozostaje daleko poza możliwościami mojego poznania, jedynym i jak sądzę

najrozsądniejszym wyjściem jest po prostu wędrować i samemu się przekonać...

„Przejażdżka rowerem”

Pewnego dnia jadąc rowerem, zaczęło dziać się coś, co jak sądzę pozwoliło rozwiać resztki otaczającej mnie mgły. Podczas jazdy mój wzrok skupiony był na drodze przede mną, jednak jednocześnie kątem oka dostrzegałem, trzymające kierownicy dłonie. I w pewnym momencie przeżyłem swoiste *deja vu*. Poczulem znany skądinąd stan wychodzenia poza ciało. Przestałem patrzeć na dłonie oczami. Przestałem patrzeć na moje ręce, jak na moje ręce. Stopniowo przesunąłem wzrok na resztę ciała, ale nie patrzyłem na „swoje” ciało. Tym razem towarzyszyły jednak temu rodzące się w „mojej” głowie pytania. Czy jestem ciałem, które jedzie rowerem? Jeśli tak, to czy w momencie, gdy przestanę jechać, przestanę „być”? Czy jestem oczami, które patrzą? Jeśli tak, to w momencie, gdy je zamknę, przestają „być”? Cały czas jadąc, rozmyślałem nad odpowiedziami, a jednocześnie przestawałem patrzeć na otaczającą mnie i z każdym metrem zmieniającą się „rzeczywistość”, z pozycji jej uczestnika. Stopniowo zaczynałem patrzeć na to co mnie otacza, łącznie z „moim” własnym ciałem, z pozycji – obserwatora. Odnosiłem wrażenie, jakbym przestawał być częścią otaczającej „mnie rzeczywistości”. Czułem również, że tymi pytaniami poruszyłem ostatnie kamienie dźwigane przez wiele lat.

Głęboko zadumany, niemniej nadzwyczaj spokojny, dojechałem do miejsca, do którego jechałem. Wiedziałem, że stało się ze „mną” coś, nie wiedziałem jednak jeszcze co takiego. Wiedziałem jednak, że jeśli cierpliwie poczekam, wkrótce się dowiem i... jak się okazało, nie pomyliłem się.

Kilka dni później wydarzyło się coś, o czym tak naprawdę pisać nie powinienem, ponieważ jakakolwiek próba opisanego tego co wówczas poczułem jest kłamstwem, w najlepszym wypadku formą prawdy. Jest jak próba opisanego bezkresu nieba, bądź oceanu. Można zbadać z czego składa się powietrze, jak zbudowane są chmury, ale czy to w jakimkolwiek stopniu oddaje to czym jest niebo? Możesz zbadać skład chemiczny wody, oszacować wielkość oceanu, ale czy będzie to opis samego oceanu? Tak na dobrą sprawę można by o oceanie napisać, że jest duży. Ale co to oznacza? Wszystko i jednocześnie nic. I tym są właśnie poniższe słowa. Egoistyczną próbą umysłu, ubrania w słowa ogromu oceanu. Próba z góry skazaną na porażkę...

W tamtym momencie poczułem, to czego jak sądzę przez całe dotychczasowe życie poszukiwałem. Poczulem coś co jak sądzę buddyści nazywają oświeceniem, Osho nazywał prawdą, można nazwać Wolnością, ale czy to tak naprawdę ma jakiegokolwiek znaczenie, jaką etykietę przykleję. W jednej chwili poczułem się „wolny”. Wolny od wolności i niewoli, od dobra i zła. Od tego co robiłem, od tego o czym myślałem, od wszelkich przekonań, wierzeń, wolny od tego świata, od ciała w którym się znajduję. W jednej chwili wszystkie formy, stały się jedną, a ja jej częścią. W tamtym momencie było mi tak naprawdę obojętne czy żyje czy jestem martwy, ponieważ życie i śmierć przestały istnieć. Okazały się być jedynie ulotnymi obłokami. W tamtej chwili czułem, że jestem wszystkim co mnie otacza, a jednocześnie czułem się od tego wolny. Czułem, że jestem częścią wspaniałego procesu stworzenia i jednocześnie jego autorem. W tamtej chwili byłem wszystkim i niczym... W jednej chwili pozostało czyste doświadczenie...

Zakończenie (Epilog)

Gdzieś, kiedyś w końcu udało mi się zdjąć z ramion, już nie pojedyncze kamienie, a cały plecak. Poczuć prawdziwą wolność. Pod skórą, kośćmi, które stanowią przejściową formę, w której się znajduję. Pod poglądami, przekonaniem, zewnętrznymi manifestacjami, które okazały się ulotne niczym chmura na niebie, udało mi się dostrzec, to kim, jak mi się wydaje jestem naprawdę. Na moment „opuścić” świat, w którym przyszło mi żyć, tylko po to żeby chwilę później znów założyć plecak na ramiona i ruszyć dalej... Czemu? Bo, zacytuje tu tytuł książki, Owena Fitzpatricka i Richarda Bandlera, „... wolność jest wszystkim, a miłość to cała reszta”.

A może się mylę? Może wszystko co dotychczas przeżyłem, odczytałem na opak? Czyż to nie wspaniała perspektywa. Jedno życie, nieograniczona liczba opowieści... Wystarczyłoby, żebyem ubrał to wszystko w inne słowa i powstałaby kolejna historia... Kogo? Tego samego człowieka?

Posłowie

W tym miejscu nasze drogi się rozchodzą. Może część osób, już wcześniej zdecydowała się pójść swoją drogą, nie tracąc czasu na wysłuchiwanie bzdur, opowiadanych przez jakiegoś szaleńca... Jeśli, jednak zdecydowałeś się dotrzeć do końca mojej opowieści, wędrowcze, w tym właśnie miejscu przyszedł czas na powiedzenie: „Zegnaj”, a może „Do zobaczenia”. Może okaże się, że nasze ścieżki ponownie się skrzyżują...? Może po raz kolejny, zdecydujesz się wysłuchać dalszego ciągu mojej opowieści? Jeśli takowy będzie... A może to ja będę słuchał Twojej, i w Twoich słowach będę odnajdywał siebie? Może, może, może... Wszystko z tego, może się wydarzyć, a równocześnie, może się okazać, że los szykuje dla nas scenariusz, którego nawet nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Jedynym, co jak sądzę nam pozostaje, to po prostu wędrować, traktując każdą chwilę, jakby była ostatnią... Być przygotowanym na wszystko, jednocześnie nic nie oczekując... Być „tu i teraz” całym sobą, jednocześnie pozwalając, danej chwili odejść...

*Jeśli z jakiegokolwiek przyczyn uznasz, że chciałbyś się ze mną skontaktować, pisz na adres e-mail:
walczaklukasz@yahoo.pl*